



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET

ROK 1924. WARSZAWA, 4 PAŹDZIERNIKA

CENA NUMERU 1 zł. 20 gr

T RE Ś Ć N U M E R U :

Ważne zagadnienie — P. Reforma gospodarstwa domowego — F. S. Nauczycielka domowa — K. S. Stary Sącz (d. c.) — N. Samotyłowa. Miasta i kobiety (wrażenia) — Marja Kuncewiczowa. Rezerwistka (wiersze) — Marja Niklewiczowa. Salta pro nobis (warjacja) — John Galsworthy (tłom. z ang. W. M.). Drogami duszy (powieść) c. d. — Helena Ceysingerówna. Romantyczna przygoda ironisty (nowela) — Paul Bourget (tłom. M. D.). Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.) — K. Bielańska. Cel i zadania pedagogji (c. d.) — Emilia Tecka. Lady Stanhope — Dr. M. Kasterska. Kobieta w świecie i w domu — Z. B. Wychowanie fizyczne i życie sportowe kobiet — I. Fabrycowa. Wystawa w Łazienkach — N. M. Sam. Z książek — Marja Dąbrowska. Z Teatrów — p-a. Z życia stowarzyszeń kobiecych — Ziemianka. Ze wspomnień instruktorki oświatowej w wojew. Pomorskiem — Stefanja Bojarska. List z Paryża — Sèquâ. Wskazówki praktyczne: 1) Łapanie oczek w pończochach — F. S.; 2) Patki do przytrzymywania ramiączek — F. S.; 3) Sarnina — Pani Elżbieta; 4) Odpowiedzi — E. K. Z dziedziny kosmetyki leczniczej — Dr. Jadwiga Sadowska. Dodatek powieściowy: „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego) — przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu.” Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW.

WAŻNE ZAGADNIENIE

Przewija się od czasu do czasu w polskim świecie kobiecym pobożne westchnienie, pełne tęsknoty do tych błogich stosunków społecznych i gospodarczych — które pozwalały kobiecie zamężnej i matce poświęcić się całkowicie sprawom domowym i wychowaniu dzieci, przyczem żywicielem rodziny i stałym dostarczycielem gotówki był mąż — głowa domu.

Był to układ stosunków tak zwykły i tak normalny — że do wyjątkowych i bardzo rzadkich wypadków zaliczało się te rodziny — w których matka, wychowująca kilkoro dzieci, musiała myśleć o pracy zarobkowej. Wypadki te stały w szeregu faktów anormalnych, wynikających bądź z wielkiego nieszczęścia, które spadło na

daną rodzinę, bądź też z niebывałej niezaradności i safandulstwa małżonka.

Pracę zarobkową kobiet zamężnych uważano za zjawisko łaskawie tolerowane jedynie w sferze robotników fabrycznych i miejskich, gdy jednak fakt taki zdarzył się w rodzinie inteligentkiej — starano się go w ten lub inny sposób ukryć, tak lub inaczej brutalność jego upozorować.

Zresztą praca zarobkowa inteligentek — matek należała do niesłychanie rzadkich zjawisk. To też jeżeli mówimy o wielkich przemianach gospodarczych i społecznych — które sprowadziła wojna światowa, musimy

na plan pierwszy wysunąć to właśnie zagadnienie.

Nie pomoże tu żalosne załamywanie rąk, pobożne wzdychanie do minonej przeszłości i żałośliwe rozpamiętywanie tych sielankowych czasów, kiedy to matka, — gospodyni i wychowawczyni, cały swój czas i całą swą inicjatywę oddawała ognisku domowemu.

To należy dziś w doskonałej większości wypadków do przeszłości.

Cały szereg matek stanął wobec brutalnej i nieodzownej konieczności zarobkowania. Na nic się nie przyda pocieszenie się, że czas jest przejściowy — że za rok, za dwa stosunki ulegną błogosławio-

nej zmianie. Takie stawianie kwestji jest tchórzliwą ucieczką przed rzeczywistością. Tak jest! Bo nic innego tylko właśnie ta realna, twarda rzeczywistość kazała kobietom szukać pracy zarobkowej i przyjmować na swe barki obowiązki, których nasze matki jeszcze nie znały.

Jeżeli wiele z pośród naszych pańien zajmuje posady w biurach po to, by mieć gotówkę na szpilki i na wstążki — jeżeli da się to również powiedzieć o tej lub innej mężatce bezdziejnej, — to jednak nikt nie ośmieli się twierdzić, że matka i to matka kilkorga dzieci, pracująca w szkolnictwie, w biurowości i t. d. i na całe ranki opuszczająca swój dom, czyni to dla jakiejś fantazji lub kaprysu, o! tak sobie — by mieć trochę pieniędzy na własne zachcianki.

Wiemy doskonale — że ten ciężko, zaiste! ciężko zapracowany przez matkę rodziny grosz idzie zawsze na pierwsze potrzeby jej dzieci, na kawałek chleba dnia powszedniego. Gdy myślę o tej kwestji, staje mi przed oczyma scena, której byłam świadkiem.

Była to rodzina człowieka wielkich zdolności, docenta uniwersytetu, — składała się z żony, dwojga dzieci i matki staruszki. Pensja docenta starczała zaledwie na pokrycie skromnego utrzymania do 15-go każdego miesiąca. Stało się jasnym, że żona — przyrodniczka o skończonych studjach w uniwersytecie krakowskim musiała szukać pracy zarobkowej. Znalazła ją łatwo w gimnazjum żeńskim, państwowem. Została etatową nauczycielką. I oto co rano w domu profesora rozgrywała się cicha tragedia. Gdy matka wychodziła do szkoły, rozlegał się rozdzierający serce, tłumiony płacz młodszej dziewczynki — perswazje babki nie pomagały! — wówczas starszy, sześciolletni braciszek biegł do kalendarza i obliczał, ile jest czarnych kartek do najbliższego czerwonego dnia, do tego cudnego dnia, gdy mama nie idzie do szkoły!

Nie ludźmy się, że to są sceny rzadkie.

Spytajmy się matki lekarki, urzędniczki, nauczycielki, ile przeżyły najserdeczniejszego, najboleśniejszego niepokoju o swe dzieci, gdy obowiązek trzymał je po za domem, w którym zostawiły swój drobiazg na opiece nieodpowiedzialnej służącej.

A potem przejrzyjmy listę płac naszych urzędników ministerjalnych, zobaczymy, ile zarabia miesięcznie młody, początkujący architekt lub inżynier, przeliczmy z jaką pensją miesięczną w kieszeni przestępuje próg domu w dniu pierwszym każdego miesiąca wyższy oficer armji polskiej — i... zapytajmy siebie, czy ludzie ci, obarczeni rodziną, mogą żyć z takiej sumy! Wszak jasnym jest, iż dodatek „na żonę“ do gaży pułkownika wojsk polskich — jest tak „olbrzymi“ — że, jak ktoś słusznie powiedział, nie starczyłby na utrzymanie rasowego psa.

A więc — jakie wyjście z sytuacji?

Ludzie, — dla których sprawy życiowe przedstawiają się lekko — i płytko — mają na to jedną odpowiedź: nie mieć dzieci! Jasne! — jeżeli się nie ma majątku — to nie ma się dzieci. W najgorszym razie można sobie pozwolić na zbytek jednego dziecka.

Bądźmy tylko szczerzy! — Czyż nie tak wygląda rozumowanie przeciętnego małżeństwa z polskiej inteligencji pracującej!

Nie ulega kwestji, że w Polsce 60% matek inteligentek musi pracować zarobkowo.

Czy jednak praca zarobkowa kobiet zamężnych jest czarnym musem, złą koniecznością, nieszczęściem?



Mimo wszystko — cośmy powiedzieli powyżej, tak nie jest! Przeciwnie!

Twierdę z całą stanowczością, że wkrótce kobieta, nie mogąca się wylegitymować żadną pracą twórczą po za swemi obowiązkami matki i żony — będzie należała do wyjątków.

Życie jest potężne i wielkie! Nowe warunki muszą stworzyć nowy typ kobiety!

Przyjrzyjmy się temu, co się wkoło nas dzieje.

Czyż nie widzimy, że dokonywa się wielka zmiana w stosunkach ludzkich i w duszach ludzkich

Zapytajmy nasze matki i nasze babki — jak to było w czasach ich młodości!

Wówczas kobieta w odmiennym stanie była przedmiotem troski i niepokoju całej rodziny, była otoczona opieką, odsuwano z przed jej stóp wszystkie trudności, wszystkie przeciwności, dogadzano w najmniejszych drobiazgach.

Dziś? Dziś młoda matka pracuje zarobkowo do ostatniego miesiąca, spełnia swe obowiązki w domu i poza domem, zbiera swą własną pracą zdobyty grosz, na „ową chwilę“ — i nie czuje się bynajmniej pokrzywdzoną ofiarą losu. Ona wie, że potrafi połączyć swoje obowiązki matki z obowiązkami pracownicy, zarabiającej wraz z mężem na życie swoje i dzieci. W tej wspólnej pracy widzi nie tylko mus, ale i wielką radość.

Tylko społeczeństwo musi ułatwiać matkom ich pracę zarobkową, tak jest! musią ułatwiać, a nie rzucać pod nogi kamienie — jak się to dziś także często zdarza!

To właśnie zagadnienie powinno się stać tematem dyskusji — w której musi zabrać głos cały świat kobiet polskich.

Dla omówienia i przemyślenia tej, tak nad wyraz ważnej kwestji „Bluszcz“ otwiera swe łamy...

REFORMA GOSPODARSTWA KOBIECEGO

Polska przeżywa obecnie, w związku z sanacją skarbu, poważny kryzys gospodarczy. Minął okres inflacji, który pozwalał na rozrzutne inwestycje, na nieogładne powiększanie produkcji, umotywowane powszechnym zaufaniem do towaru, a ucieczką od gotówki. Nadmiernie w ciągu ostatnich lat rozrosłemu handlowi i przemysłowi grozi upadek wskutek obniżenia stopy życiowej w kraju, a braku rynków zbytu zagranicą. W tak przełomowym momencie, ekonomiści nasi upatrują ratunek jedynie w przyswojeniu sobie najnowszych zdobyczy techniki i w naukowej organizacji wszystkich gałęzi wytwórczości i wymiany. Hasłem dnia jest przede wszystkim obniżenie kosztów produkcji.

Niewiele kobiet uświadamia sobie, że taki stan rzeczy odbić się musi z konieczności na tym jaskrawym anachronizmie, tej idyllicznej wysepce na morzu współczesnego życia, jaką jest nasze gospodarstwo domowe. Marnowanie „surowców“, niska technika, trwonienie czasu, urągające nietylko — ideom Taylora*), ale zdrowemu rozsądkowi. Cała energia kobiety polskiej skierowała się na zdobywanie placówek, obsadzanych dotąd przez mężczyzn, a jednocześnie w dziedzinie, w której od wieków miała możliwość inicjatywy, panują rutyna i bezmyślność, dające nieświeżące wyobrażenie o jej uzdolnieniach twórczych. A jednak musimy sobie uświadomić, że nietylko obecne warunki gospodarcze w kraju czynią to zagadnienie aktualnym, ale że niema is-

*) Taylor, inżynier i wynalazca amerykański, twórca systemu pracy fabrycznej, opartego na maximum ekonomji czasu, materiałów i narzędzi.

totnej emancypacji kobiet bez reformy organizacji domu; póki trwać będzie obecna sytuacja, kobieta, już przez fizjologię swą gorzej przystosowana do walki o byt, współzawodniczyć musi z mężczyzną w stokroć trudniejszych od niego warunkach.

Nie wolno kobiecie uspołecznionej upatrywać rozwiązania kwestji w prostym przetruceniu ciężaru na barki służącej, gospodyni, starej krewnej i t. p., jak to się często praktykuje tam, gdzie pani domu oddaje się pracy zawodowej. Minęły czasy greckie, gdy elita społeczeństwa kultywowała naukę i sztukę za cenę niewolniczego ustroju. Nietylko coraz szczuplejsza garstka kobiet, mogących sobie pozwolić na płatną lub bezpłatną pomoc ma prawo do działalności na obranem przez siebie polu. Rozstrzygnięcie leży w wyzwoleniu jak największej ilości sił kobiecych z pod jarzma męczącej, jałowej pracy, odrywającej je od innych obowiązków matki, żony, członka społeczeństwa. Dawniej, w odmiennych warunkach ekonomicznych, gospodarstwo domowe dawało daleko szersze pole do wysiłków twórczych dla zdolnych, energicznych kobiet, ba, nawet pozwalało na zaspakajanie „zawodowych“ ambicji np. przez stwarzanie sławnych nieraz recept kucharskich. Obecnie, wskutek musu zarobkowania poza domem lub z wewnętrznej potrzeby jednostek, rwących się do szerszej działalności, zajęcia gospodarskie nabierają drugorzędного charakteru i sprowadzenie ich do minimum staje się palącą kwestją.

Kobieta nowoczesna ma więc przed sobą szereg doniosłych zadań. Winna zorganizować życie domowe na nowych podstawach, starając się, o ile możliwości, ocalić charakter „ogniska“ rodzinnego; znaleźć modus vi-

vendi między dokonywującą się samorzutnie eliminacją coraz to innych gałęzi pracy poza obręb domu, a tendencją większości „dobrych gospodyń“ do skupiania wszystkich czynności w domu (tłomacząc swoje postępowanie wyższą jakością wytworów, indywidualizacją upodobań, wzmocnieniem więzów rodzinnych) i wreszcie winny dążyć do „tajloryzacji“ każdej czynności gospodarskiej, do oszczędzenia czasu i pieniędzy, unikając przytem takiego schematyzmu, któryby zagrażał estetycznym walorom dotychczasowego trybu życia.

Tylko zbiorowy wysiłek zdoła przewyciężyć bezwład, nieufność i obojętność, panoszące się u nas w tej dziedzinie. Powinnyśmy być au courant życia Amerykanek i zachodnich Europejek, które, obywając się bez licznej służby, nie zrezygnowały jednocześnie z działalności zawodowej. Powinnyśmy również zerwać z dawnym systemem zazdrosnego ukrywania nabytych długim doświadczeniem metod prowadzenia gospodarstwa.

Chcąc się przyczynić do postępu w tej dziedzinie, umieści „Bluszcz“ chętnie wszystkie, choćby najdrobniejsze, uwagi i wskazówki, dotyczące „modernizacji“ życia domowego, oraz, w ogólności, wszelkie pożyteczne informacje, pozwalające gospodyniom zaoszczędzić czas i pieniądze.

Poniżej, w dziale wskazówek praktycznych, zamieszczamy dwa artykułiki w kwestjach, które, mimo pozornej błahości, zajmują niewątpliwie wiele kobiet. Jak w maszynie niezbędne jest dobre funkcjonowanie każdej śrubki, tak w zakresie gotowania, prania, szycia i t. p. nie należy gardzić choćby najmniejszym szczegółem, przedstawiającym postęp techniczny lub organizacyjny.

F. S.

NAUCZYCIELKA DOMOWA

II

Szkolnictwo średnie żeńskie wymaga szybkiej i radykalnej reformy. Kiedy ona nastąpi — zależy tylko od kobiety, zależy od momentu, gdy matki uświadomią sobie całą wagę i odpowiedzialność swoich obowiązków względem dzieci. Wtedy rodzice naprawdę zainteresują się sprawą ich

skłonności i powołania i upomną się o najodpowiedniejsze dla nich szkoły. Ale bez względu na to, kiedy i w jakich rozmiarach nastąpi reforma szkolnictwa żeńskiego — nauczycielka domowa zachowa zawsze swoją ważną rolę bytu. Zawsze bowiem znajdzie się duży procent dziewcząt, dla których z tych, czy z owych powodów nauka szkolna nie będzie wskazana.

Pomijam już względy natury pedagogiczno-wychowawczej, które w wielu wypadkach przemawiają raczej za nauką indywidualną, pomijam bardzo ważny wzgląd na zdrowie wielu dziewcząt, które przeniesione ze sprzyjającej atmosfery życia wiejskiego w niezdrowe nieraz warunki higieniczne miasta i szkoły — musiałyby ponieść niepowetowaną szkodę. Ale

pozostaje dość częsta u rodziców niechęć do oddawania młodocianych córek poza dom, która przemawiać będzie raczej za nauką prywatną.

Spotykałam wiele matek, ziemiaków, które z ubolewaniem mówiły o konieczności oddania córek do internatu, albo zamieszkania z niemi na szereg lat w mieście. Skarżyły się, że tylko brak odpowiednich nauczycielek domowych do tego je zmusza.

Dziś, kiedy ogólny cenzus wykształcenia kobiet znacznie się podniósł, kiedy w sferach inteligencji kobieta bez średniego conajmniej wykształcenia jest już nie do pomyslenia, dawny typ nauczycielki domowej stał się niewystarczający.

I to główna przyczyna, dlaczego nauczycielka ta wychodzi, że tak powiem, z użycia. Brak jej poprostu odpowiedniego wykształcenia.

Mówiąc językiem socjologii: stoi tu wobec zjawiska zanikania popytu z powodu braku podaży. Brak odpowiednio wykształconych i ukwalifikowanych nauczycielek domowych sprawia, że zanika także i nauka domowa nawet w tych wypadkach, w których byłaby pożądana.

Nie ulega wątpliwości, że szkoła ma swoje walory, których nauka domowa dać nie może: życie koleżeńskie i związany z niem rozwój uczuć solidarności i t. p., a poza tem większe pogłębienie nauki przez nauczycieli specjalistów każdego przedmiotu.

Ale szkoła średnia żeńska taka, jaka jest obecnie, nie odpowiada potrzebom przeciętnego ogółu dziewcząt. A jeśli szerokie warstwy do niej się garną, to dzieje się to nietylko przez zmysł naśladownictwa, dla mody, ale także i dlatego, że niema innej i że brak odpowiednich nauczycielek domowych.

Nauczycielka, która odpowiadałaby dzisiejszym potrzebom, a więc mogłaby dać uczniom mniej więcej średnie wykształcenie, musiałaby sama mieć wykształcenie wyższe, a ponadto pewne przygotowanie pedagogiczne. Otóż nauczycielki z takimi kwalifikacjami uważają za właściwą swoją pracę wśród uczenia w szkole i wolą raczej przyjąć posadę choćby w szkole powszechnej, niż uczyć prywatnie.

Jaka jest tego przyczyna?

Sądzę, że poza względami ideowo-pedagogicznymi (szersze pole działania) niemałą rolę odgrywa tu także kwestja stanowiska społecznego i najmniej wagi wzgląd na takie rzeczy, jak pensja, emerytura i t. p.

Aby nauczycielka z akademikiem i pedagogicznym wykształceniem, chciała poświęcić się wyłącznie ucze-

niu prywatnemu, aby uważała to za swój cel, musiałaby mieć poczucie, że zapewni jej to należyty szacunek w społeczeństwie, odpowiedni byt materialny i ewentualnie da jej zabezpieczenie na starość.

Jak wszędzie tak i tutaj musi popyt wyprzedzić podaż.

Jeśli rodzice dojdą do przekonania, że w wielu wypadkach zamiast wysyłać córki swoje do miasta po maturę o wiele korzystniej będzie dla nich przyjąć do domu odpowiednio ukwalifikowaną nauczycielkę, jeśli od niej wymagać będą wyższych kwalifikacji, ale też w zamian za to ofiarują jej odpowiednie warunki zarówno materialne — jak i moralne, jeśli więc, mówiąc językiem praktycznym, ustali się zapotrzebowanie pewnej kategorii pracowników o określonych kwalifikacjach i określonym uposażeniu — nie zabraknie z pewnością kandydatek do tej pracy.

Jest dużo ukończonych słuchaczek uniwersytetu, które z powodu braku formalnych kwalifikacji nie mogą uzyskać posady w gimnazjum i chętnie poszłyby na wieś. Są i wśród nauczycielek, uczących w szkole takie, które ze względu na stan zdrowia, albo też z zamiłowania chętniej uczyłyby prywatnie. Powstrzymuje je od tego tylko niepewność i nieokreśloność stanowiska nauczycielki domowej. Wynikający stąd wniosek można więc sformułować w następujący sposób: zważywszy, że dla wielu dziewcząt i ze względu na ciężkie warunki higieniczne życia szkolnego i ze względu na nieodpowiedni typ dzisiejszej szkoły średniej żeńskiej raczej wskazana jest nauka w domu, musimy uważać rolę nauczycielki domowej za aktualną. Z drugiej strony ponieważ charakter jej zupełnie się zmienił i pod względem wykształcenia i pod względem wymagań jej stawianych, musi także zmienić się jej stanowisko społeczne i materialne.

Jak to osiągnąć?

W sposób bardzo prosty: okazywać jej więcej szacunku, wyznaczyć większą pensję i zabezpieczyć na wypadek niezdolności do pracy.



Należałoby jeszcze poświęcić słów kilka samej nauce domowej. Rozumie się, że nie mogą pokusić się ani o zasadnicze omówienie zakresu, ani o systematyczny program tej nauki. Wymaga to szerokiej i gruntownej wymiany zdań doświadczonych pedagogów i będzie zadaniem przyszłych reformatorów szkolnictwa żeńskiego. Chcę zwrócić uwagę na niektóre rzeczy zasadnicze.

Ile razy zabierałam się do uczenia kogokolwiek — pojedynczo czy zbiorowo — zawsze stawiałam sobie wyraźne pytanie: co chcę osiągnąć? t. zn. nietylko, co chcę osiągnąć wogóle, ale codziennie, każdą poszczególną lekcją. Uważam to za rzecz bardzo ważną, niestety, mało przez nauczycieli uwzględnianą. W nauce prywatnej o wiele łatwiej jest na to pytanie odpowiedzieć i o wiele łatwiej cel zamierzony osiągnąć.

Otóż celem tym powinno być — nie jak to się najczęściej zdarza — zdanie bez praktycznej potrzeby tego lub owego egzaminu, ale ogólne wykształcenie i przygotowanie do przyszłego praktycznego życia. Takie przedmioty jak: matematyka i fizyka, a nawet historia i geografia powinny być uwzględniane w o wiele skromniejszym zakresie, ale za to powinny tam znaleźć miejsce: nauka higieny, wychowania fizycznego, pedagogiki i t. p. Program ten powinien być ruchomy t. zn. w miarę bliższego poznania uczenic, ich zdolności i zamiłowania, te lub owe przedmioty powinny znaleźć większe lub mniejsze uwzględnienie.

Szkoła z konieczności skazana jest na pewne szablony, na przeciętność; w nauce prywatnej można zarówno program jak i metodę indywidualizować. Ale na to trzeba zdolnych i odpowiednio przygotowanych nauczycieli. Zagranicą istnieją już instytucje, przygotowujące do pracy nauczycielskiej indywidualnej, (jak np. szkoła dla nauczycieli domowych Bertholda Otto w Gross-Lichterfelde) u nas takich instytucyj jeszcze niema, ale możnaby łatwo wprowadzić odpowiedni dział w Instytucie Pedagogicznym i przy Studium pedagogicznym na uniwersytetach.

W każdym razie literatura pedagogiczna i nauka psychologii zawierają cenne wskazówki, które utalentowanej i zamiłowanej nauczycielce wystarczą do ułożenia samodzielnego programu i metody.

Rodzicom, biedzącym się, jak i gdzie kształcić swoje córki i młodym nauczycielkom, rozważającym, jak i gdzie można pożytecznie pracować — podaję sprawę tę do sumiennej rozwagi.

5) STARY SĄCZ

ZE SZKICOWNIKA.

MARYSIA.

Marysia ma nieustannie do czynienia z przedmiotami widzialności: z przyrodą, z ziemią, z rzeczami. W ciągu całego dnia wśród nich się kręci, dotyka ich, zmienia wzajemne ich ustosunkowania, kształtując do pewnego stopnia po swojemu świat rzeczy. Myje podłogi, zamiata, zmywa statki, pompuje wodę, obiera kartofle, czyści buty, rąbie drzewo, zapala w piecu, gotuje, pierze, prasuje; daje jeść psu, kotom, spogląda na małe kocięta z lubością; idzie do ogrodu, kopie kartofle, zrywa wiśnie, zrywa kwiaty, robi z nich bukiet, który stawia podczas naszej nieobecności na naszym stole, czyni to z przyjemnością, z ukrytą myślą zrobienia niespodzianki. Napewno zresztą sam bukiet, samo zestawienie kolorowych płam sprawia jej bezwiedną przyjemność.

Porządkuje — przestawia meble, czyści i trzepie — dotyka ciągle czegoś rękami, z czemś się pora, na czemś potwierdza swe istnienie, rację swego bytu.

Jest nieustannie czynna, idealna siła robocza, „machina ludzka” w ruchu, bezpośrednio związana z materią, umiejac ją opanowywać dzięki sile mięśni, sprawności, wycwiczeniu. Dźwiga ciężary z łatwością. Zdaje się wszystko czynić bez wysiłku.

Jest trochę jednak Golemem. Śmieje się głośno, mówi również głośno, niewyraźnie i gwarowo wymawiając słowa. Postać ma niezgrabną, porusza się mimo to zręcznie wśród swego państwa przedmiotów i wyprostowana pomyka lekko w święto ku przedmieściom Starego Sącza.

Nosi stale na głowie chusteczkę, źle związaną pod brodą i tworzącą daszek nad czołem. Jest głucha, a raczej nie dosłyszcy.

Ma tu, w Starym Sączu, miasteczku — wsi, możliwość daleko bardziej bezpośredniego obcowania z przedmiotami, z witalnością, z życiem w jego prostym, surowym znaczeniu, niż służąca warszawska, którą odgradzają od ziemi choćby tylko piętra, zawieszenie w powietrzu, która nie ma podwórka ze składem rupieci, wielkich kadzi na deszczówkę, studni i pompowania wody, słoneczników, wyrastających z pośród kamieni podwórka, grochu — wspinającego się na tyczkach, szeregów cebuli o siwo-zielonych główkach, wielkich maków białych i amarantowych, zagonka kartofli za altaną, altany, w której nie siaduje, która jednak jest, (przebywają w niej pani i panienki) — nie ma wreszcie psa i kotów, wałęsających się po sieni o nierównych i chwiejnych deskach i wśród zielonych krzaków ogródka; nie ma piwnicy, zięjącej chłodem w lecie, ani tego olbrzymiego pieca, w którym wypieka co tydzień pachnące chleby.

Marysi żywot jest zupełnie inny, barwniejszy i bardziej „własny”; prawdopodobnie o tem nie wie i może tęskni do miasta.

Marysia siedzi mocno wśród tej ziemi gór i wchłania płucami wiatr od nich idący; zrasza ją „descyk” i nie przerażają jej grzmoty, przewalające się po niebie. Czasami idzie kapać się w Popradzie.

Gdy ma trochę czasu we dnie — spi. W niedzielę po południu gwarzy, gada donośnie, jak ludzie głusi. Jest w sile wieku. Co będzie dalej? — nie pyta. Żyje. Żyje, jak ptak, jak trawa, jak świerki w lesie. Ma swoje dobre i złe chwile. Lecz mało wie. Istnieje po coś, jak istnieją tamte i spełnia [rolę jednego z twórców w obecnym nawaństwie życia.

OPOWIADANIE MARYSI.

Zsunąwszy chusteczkę z czoła, ująwszy się mocno w bok, oparta biodrem o krawędź stołu, zaczyna Marysia głosem śpiewnym i nieco krzykliwym:

„Prose ja pani, bo to ja jestem niby z Carnego Potoka. To je taka wioska niebardzo daleko stąd. Tak jo nazywajom, bo tam ciemny potok płynie. Pani jej nie zna. To tam je cudowna lipa, co w nij Matko Bosko sie pokazała.

A to było tak: ludzie tego Carnego Potoka chcieli stawiać kościół. To se wybrali takie piekne, godne mijsce na wzgórecku, daleko ode drogi, od kurzu, tak, coby wszystkim widno było i zaceli budować. Na drugi dzień przychodzm — a z ich budowania nic — całe przeniesło pod lipę, co niedalecko drogi nisko stoi. To uni znowu wzieni sie budować na wzgórecku. I znowu coś im całki budulec powywracało i przeniesło pod te lipę. Tak było kilka razy: co uni zbudujom, to im syćko zmiecie. Aż uni widzom, co to jakaś wielka siła, to uni już sie nie przeciwili, i położyli fundamenty pod kościół niedaleko lipy. Wiecorem patrzom, a lipa cała w promieniach, cała w blasku, i w nij Matko Bosko sie objawiła.

To lipa ta od tego casu je cudowna i lecy od różnych chorób. Co rok, jak ludzie do Carnego Potoka na odpust przyjadom, to który nozem, który kozikiem, kazdy choć kawalecek kory, cy drzewa z ty lipy oberźnie — to ona teraz syćka bez kory stoi.”

(d. n.)

N. Samotyhowa

MIASTA I KOBIETY

(WRAŻENIA)

I.

W perłowy, miękki wieczór idę po uliczkach Brüges. Głośno dźwięczą kroki. Godzina jest wczesna. W Warszawie przyjaciółki moje, przegryzając bułeczkę z szynką przy stole, wonnym od herbaty i róż w kaszubskim czerepku, wodzą właśnie paluszkami po kratkach repertuaru i myślą, na co by pójść do teatru i w jakim kinie śmieją się dzisiaj wesołe oczy Valentina...

Głośno dźwięczą kroki. Fasadki domów, mleczone w gęstniejącym zmierzchu szlakiem równiutkich zębów biegną w mrok — zawsze takie

same, cacka naiwne i wyszukane, jak powieść o Kopciuszku. Zalotnie błyskają szybki, spowite w śniegi koronek i haftu, okienka najpiękniejsze na świecie, marzenie i duma dziewczyn, pracą mrówki znaczących każdą godzinę schludnego żywota. Be-gonje atlasowe ćmia, jak mgła zawstydzenia na nieśmiałych twarzach. Gwiazdą klamek pieczętowane, zielone drzwi wszędzie są szczelnie zawarte. Obce słowa wyzierają z tabliczek tak świetnych, jak dukaty. Nazwiska flamandzkie, które Polakowi przywodzą na myśl płótna z wyobrażeniem łąk, gęsto zaludnionych krowami, albo smakowite blaszanki van Houtena.

Tak mało ludzi spotygam, i tak niedzisiejszych. Ksiądz sunie w wielkim kapeluszu stosowanym, laską stukając o płyty chodnika — ksiądz mądry i smutny, jak ów kanonik, wsparty na ramieniu kleryka w „Musée Moderne” de Bruxelles. (Księża tu chodzą z brewjarzem pod pachą i na ludzi patrzą zza okularów przychylnie). Staruszki spotygam czarno odziane, fałdzisto, w białych czepkach i z koszykiem przez ramię. Niebaczną ręką wyjęte z gabloty, kukielki drewniane, lawendą czasów umarłych pachnące — niewidome i srogie. Mijają mnie z rzadka mężczyźni o twarzach van Eyckowskich

kupców, o ustach zaciętych, oczach małych w oprawie zmarszczek, z miedzianą cerą rybaków.

Wcale nie widzę młodych. Wszyscy zostali na rynku wkoło altany, gdzie orkiestra fetuje święto pulkowe buńczuczna melodia. Wśród murów, dzierganych bogatą arabeską z kamienia, rozsiadły się werandy tawern w trzeciorzędnym stylu paryskim. Na witrynach widnieją napisy: „Bureau de change”, „Café Memling”, „Bonneterie de dames”. Dzwoniąc sumiennie śpieszy tramwaj elektryczny. I tu, na tej wyspie żywych, wykwitłej z morza nagrobków, schronili się młodzi mieszkańcy Brüges. Piją wino w tawernach, notują skoki franka i myślą, jakąby świeżą przynętę zastawić na funty brytyjskich globtrotterów. A w hoteliku „A la cour d'Espagne”, którego pomyślnych losów strzeże lew, wsparty na tarczy omszałej, jowialny staruszek, witając szeroko nowego gościa, wygłasza z emfazą — między ceną pokoju a słowem respektu dla nacji etranżera — „Brüges n'est pas morte, Monsieur; oh, non, au contraire, elle est plus vivante que jamais”!

Tymczasem idę sobie perłowym miękkim wieczorem po uliczkach z bajki. Głośno dźwięczą kroki. Zmierzch coraz niżej nachyla twarz żalostną nad karcianami domkami. W kanałach uspioną wodę przebiega dreszcz przypomnienia, falki uderzają o płyty cembrowin, niewidoczne wiosło pluszcze pod strzechą wierzbowych gałęzi, ckliwie pachną glicynje i wielkie szerokolistne drzewa o białych kwiatach z wosku.

Zachybotał się nagle pluszowy mrok, cisza uchylała zasłony: dźwięki biegną nabożne, fletniowe, dziewczęce... Godzinę ogłasza klasztor zza parku. I roźdzwaniana się pacierz srebrny i śpiżowy: przyśpiewki, napomnienia, głosy wdzięczności i żal minionej chwili. Gadają ku sobie słowicze sygnaturki i męskie rozważne dzwony. Sześćdziesiąt wież klasztornych podaje sobie wzajem słowa

święte, powołanością Bogu nasiąkłe. Fruwają w sinym mroku te dźwięki, jak gołębie, po gładkiej wodzie kanałów ślizgają się, jak mewy; jak bursztyn i mirra, woń rozsuwają kościelną.

I ledwie wsiąknie w mury pierwsza fala studzonnej kantyczki, wychodzą zza zielonych drzwi kobiety w czepkach, sabotami głośno o kamienie stukając, i zamykają okiennice. Stuk niesie się ulicą, zgrzyt zawiasów piłuje powietrze, zatraskują się okna domków, jak wieka blyszczących pudeł, gaśnie biel firanek — votum dziewczęce na domowym ołtarzu. „Huit heures, et tout va bien”. Obywatele białego Brüges skończyli z Bogiem swój dzień staroświecki.

Jeszcze głośniej dźwięczą moje kroki. Zamilkły głosy różańca, rozfalowana cisza ułożyła się znowu w fałdy sute i ciężkie; ledwie gdzieś szepnie liść i poskarży się woda. Stają przy kamiennym murku nad kanałem, i — patrząc — wrastam w to miasto, jak w pień dębowy jemioła. Z pod mostu wysuwają się dwa widma przesłizne o kształtach rajskiego kwiatu: nie wiem, czy to są dusze, czy łabędzie. Zarówno mi są bliscy w tej chwili dawno umarli ludzie, jak obcą ręką karmieni ptakowie. Płyną sobie te stwory po ścieżce księżycowej, póki cień platanu jedwabną chustą nie ogarnie ich skrzydeł ze srebra.

Tuż za mostem lśni pałac, zanurzony w wodzie po warkocze stróżujących wierzb. Malutki pałac, jak malutkim jest głos, prawiający senną opowieść o przeszłości Brüges. Fasada zamknięta, niby w haremie, okienka drobne i wysokie. Ale tuż nad lustrem kanału drzwiczki cudnie rzeźbione prowadzą do zmurszałej gondoli. Kołysze się to czółno powolnie, i może jeszcze czeka... Wiele mijam domów i ciągle zmieniam ulice, a zawsze te same mówią do mnie ściany i zawarte okna. Słowa ich są, jak majaki, ale w ciszy słyhać je wyraźnie. Wiem przeto więcej o se-

kretach firanek koronkowych, niż nie jeden maire flamandzkiego miasta. Nikt mnie jednak na szczęście nie spyta, kto płacze po nocy za rzeźbionymi drzwiami pałacu pod wierzbą, ani z czyjego serca trysnęła krew na brylantową szybkę domu z gankiem pełnym wesela.

Przechodzę most bardziej omszały, niż inne. I pierwsze dostrzegam odważne światelko. Drzwi szeroko otwarte. W głębi izba ruda od ruchliwego jakiegoś płomienia — ni to łuczywo, ni to kaganek przedwieczny. Widać komin i łyskające, miedziane naczynia. Zegar drepce usilnie, tymiankowy zapach wiję się wstążką u proga. Okienko, jak w warownym zamku: utopione w murze i kratą gęsto zasnutę. Nade drzwiami tarcza w znaki nieodgadnione porysowana kolorowo; wyżej jeszcze — śmieszna facjatka: ukuta z kamienia, niby bastjon obronny i przystrojona zwojami muślinu. Całość — forteca krasnoludków, albo dar kasztelanki dla wiernej służebnej. Patrząc łapczywie, żeby zawsze pamiętać. Aż nagle zaskrzypiało tuż koło mnie krzeselko plecione, porusza się niespokojnie czarna, fałdzista spódnica, chrzęści czepiec, usta uwiędłe rzucają pytanie... Drgnęłam z wrażenia i chcę wdać się w rozmowę — chcę usłyszeć, czemu stara wróżka nie śpi jeszcze o tej niesłychanej w Brüges nocnej godzinie, dlaczego pozwala młodziutkim czarownicom sprzedawać pocztówki Anglikom w Hotelu Memlinga... Ale nie zdążyłam wymówić powitania: zza węgła uliczki wytacza się, sapiąc ciężko, samochód. Przed kołami miotły reflektorów zamiatają jezdnię. Z gęstego tła nocy wybiega raptem przerażone drzewko akacji. Błysnęła złośliwie woda. Nietoperz ciska się plackiem o ziemię.

Wróżka stoi zgarbiona, osłaniając dłońmi przemądrzałe oczy, a nad jej ramieniem palą się okrutnie dwie latarnie zielone — dwie mściwe kocie źrenice.

Marja Kunczewiczowa

MARJA NIKLEWICZOWA

REZERWISTKA

ZAGUBIONE WSPOMNIENIE

*Chcę przypomnieć sobie i nie umiam,
jak to, kiedy odszedłeś odemnie;
w moim biednym skolatany, rozumie
błądzą ślepe myśli nadaremnie...*

*Czy to było w sine straszne rano,
gdy armaty po brukach dudniły?
Czy w południe, gdy wzdłuż ulic śpiewano,
a ja biegłam, a ja biegłam bez siły?*

*Czasem myślę — czasem zda się, że może,
gdy usnęłam w twój uścisk wplecioną,
a zbudziło mnie złe twarde łóżce,
niby zimna, kościotrupie ramiona?*

DZIECINNADA

*Śniłeś mi się promienny,
na bułanym koniku,
a za tobą żołnierz bezimienny
bez liku...*

*Śniłeś się pod chorągwi łopotem,
pod łyskaniem Bożych gromów złotem,
pośród świstu rażnych, chybkich kul,
a przed tobą otchłań wrażeń pól.*

*Szła w bój za kolumną kolumna,
a wy na nich, — a wy po nich!*

I lękałam się, i byłam śmiesznie dumna.

JAK TO NA WOJENCE ŁADNIE

List: koszary — tynk ze ścian się sypie —
Ktoś tam przez sen ciągle nosem chlipie —
stęchły zaduch — pot i brud i wszy:
taka sobie dla ojczyzny służba i w tem TY.

Nie każdemu dane, nie każdemu
na wojence ładnie z konia spadać;
nie każdemu dane, nie każdemu,
w chlubnym grobie młode kości składać,
nie każdemu dane, nie każdemu,
pod chorągwi skrz. amarantową
z tym ostatnim krzykiem „za ojczyznę!!!”
w pył się zwalić bujną, bardą głową,
zmarłych powstać na rodzinnym portrecie
i być sławą w gminie, a nawet w powiecie,
i nie każdy wraca do dom rumiany, bez rany,
wymuskany, wyorderowany..

A to serce stęsknione szalone, szalone,
zbołałe,
zgorzkniałe,
zdrewniałe — — —

KOLEJKA

Dajcie jajek chociaż pięć, choć trzy,
chleba dajcie choć pół funta na kartki.
Stoję od świtu, u tych strasznych drzwi
wysiaduję po progach i moknę w kałuży,
a kolejka zziębniętych się dłuży,
już za nami dosięga ratusza
a nic naprzód, och nic się nie rusza.

Już wdeptały się w brukowe kratki
pajęczyny srebrne nad polami i ostatnie bratki,
już pożarły ryzostoki śnieg puszysty z gałęzi,
a latarnia wszystkie szpaki i skowronki me więzi,
a ta brama przeraźliwa, cuchnąca
wyciąga spotniałe szpony
w niebo, gdzie nie widać słońca
i gdzie cicho we śnie czeka synek twój, nienarodzony.

MARZENIA O BUNCIE

Aż nareszcie rozśmieję się w głos
i pójdę z różą szkarłatną u warg,
stratuję siebie i los
i żałośliwy szelest niemych skarg,
aż mi skrzydła orłowe odrosną,
aż zapachnie wszystko, wszystko wiosną,
aż nie będzie ni wieczora, ni ranka,
ani nocy czatującej obłudnie,
— tylko róże, róże szkarłatne u wianka,
i południe, południe, południe!

ODPŁYW

Nogi obrzękłe — ręce zgrabiałe
wargi spieczone — oczy splakane,
suknie pomięte — gardło zachryple,
bramy zamknięte — bruki zawiane

i to serce szalone, szalone, szalone
nieukojone,
niezatrzacone,
nieogarnione!

URLOP

Primus warczy i kopci
w eimnej kuchni
śródm bzykania rannych much.
Boję się płomienia
i dalekiego piania koguta.

Oczy się kleją. Sił już pewno nie starczy
na żaden najmniejszy ruch
i usnę. Może sobie umrę ot tak, od niechęcenia,
właśnie TUTAJ.

Przez głowę coś leniwie jedzie,
klekoczących pojazdów korowody,
wszystko z ulicy, z ranka, z poobiedzia
TAM,
dzwonki tramwajów, kurze i wystawy mody,
nocne ziewnięcia tysięcy bram,,
Wszak tu jest prawda — a kłam?
Nigdzie odmet nie zrywa tam,
nigdzie nie kruszą się lody.

Primus kopci i chęrczy.
Oczy się kleją. Myśli pewno nie wystarczy..
Dzwonek: zew!
Od głowy do palców
Prąd.
Tłucze krew..
Tętent w żyłach goni —
Kto?
Ty?!

Cicho, cicho, Anioł Pański dzwoni
od mojej skroni do przytulonej twojej skroni,
a coraz goręcej, goręcej, goręcej
wargi płoną i ręce...

PRZEŁĘCZ

A gdy brałeś mnie taki mocny i obcy,
nie było we mnie nic ze szczęścia ani z bólu,
A gdy popadłeś w sen bez pamięci,
zgaśli nad nami u pułapu święci
i gwiazdy zgasły ponad chatą w niebie
i wszystko wsiąkło w nic — aż został tylko sen,
chwila pomroki śród iskrzeń błyskawic,
między wczoraj i jutro przełęcz nienazwana —
„A ja czuwałam — aż się okna prześwieciły od rana,
ponad tą chwilą snu, tak moją nieprzytomnie,
co skamieniała tu dla mnie — koło mnie —
między wysilonem, wyciągniętem, musztrowanem „wczoraj”
i jutrem znowu takim, jak było to „wczoraj” —
a ja czuwałam, klęcząc nad ogoloną głową,
co się stoczyła w bok jak głaz,
a była jakąś inną, nową,
widzianą pierwszy raz.

WTARGNIĘCIE TWOJEJ DUSZY

U wrót nie dzwięczała kołatka:
otwarły się same, jak usta oddechu spragnione.

W ogromnej dali
cicho, z rzadka,
biły najwyższe dzwony.

Przez długie, przeświecone krążanki
coś jak woń różana ciepłem przewiało
i po żwirze alej
bezszelestnie płynęło i biało.
Coś po schodach wionęło słońcem,
każdą rysę całując w marmurze
i wypięło rosy, w cieniu lśniącej
i otwarło żółte, żółte róże,
aż oknem najciszej wezbrało
jak szloch radości
i ogarnęło mnie całą
i we mnie gości —

Podczas gdy tam, w dole cień twój znowu odchodził odemnie.

JOHN GALSWORTHY

SALTA PRO NOBIS

Tłom. z angielskiego. W. M.

(W a r j a c j a)

— Tancerka jest bardzo smutna, Matko. Siedzi z głową opartą na rękach i patrzy w przestrzeń, aż strach ogarnia. Usiłowałam, matko, skłonić ją do modlitwy, ale biedna dziewczyna nie umie się modlić, nie ma wiary. Nie chce się nawet wypowiadać. To poganka, ale to zupełna poganka. Cobyśmy mogły dla niej uczynić, matko, żeby ją pocieszyć trochę przez te chwile ostatnie? Chciałam, by mi opowiedziała o swem życiu, — nawet nie odpowiada, tylko siedzi i wciąż patrzy w przestrzeń. Serce boli, patrząc na nią. Czyż nic nie można zrobić, aby ją pocieszyć trochę zanim umrze? Umierać tak młodo, w pełni życia, — dla niej, co nie ma wiary! Rozstrzelana być — taka młoda — tak piękna — wszak to jest straszne, Matko!

Niemłoda zakonnica skrzyżowała ręce na szarym habicie na piersiach i podniosła swe łagodne piwne oczy pytająco ku woskowo-bladej twarzy w obramowaniu kwefu i gładkich, siwych włosów. Prosta, smukła, prawie bezcielesna, w swym szaro białym stroju, Matka Przełożona stała w głębokiej zadumie. Ta kobieta — szpieg, zdana jej pod opiekę, — tancerka o krwi cygańskiej, jak mówiono — czy może maurytańskiej? — która wyłudziła tajemnice wojenne od swego kochanka — francuskiego marynarza — i sprzedała je w Hiszpanji Niemcom. Podczas procesu mówiono, że nie było co do tego żadnych wątpliwości. A potem przywieziono ją do klasztoru ze słowami: „Trzymajcie ją nam do piętnastego. Lepiej jej tu będzie, niż w więzieniu“.

Kobieta będzie rozstrzelana! Ciarki człowieka przechodzą! Ale cóż — wojna! Wszak to dla Francji!

Matka Przełożona zwróciła oczy na niemłodą siostrzyczkę i odrzekła:

— Trzeba zobaczyć, moja córko. Zaprowadź mię do jej celi.

Weszły cichutko. Tancerka siedziała na łóżku. Cera jej nie miała najłżejszego zabarwienia, prócz ledwo dostrzegalnego szafranowego odcienia, zdradzającego krew wschodnią. Twarz owalna, końce brwi zlekka podniesione; czarne włosy opadały jej na czoło, tworząc jakgdyby odwrócone V; usta zmysłowe lecz piękne, ukazywały rząd błyszczących zębów. Ramiona miała skrzyżowane, jak gdyby tłumila wewnętrzny ogień, co palił jej smukłe ciało. Oczy jej, koloru wina Malagi, po przez bielone ściany i postacie odwiedzających, patrzyły w dal, niby oczy lamparta w klatce.

Matka Przełożona przemówiła:

— Co możemy uczynić dla ciebie, moja córko?

Tancerka wzruszyła ramionami.

— Cierpisz, córko. Powiadają mi, że się nie modlisz. To wielka szkoda.

Przelotny uśmiech tancerki miał w sobie słodycz grzechu bogatej melodji, długiego pocałunku. Potrząsnęła głową.

— Nie chciałabym nic powiedzieć, coby zakłóciło twój spokój, moja córko; mamy współczucie dla twego cierpienia. Rozumiemy. Może chciałabyś przeczytać jaką książkę? Może pragniesz jakiego wina? Jednym słowem czegoś, coby cię trochę rozerwało?

Tancerka spłotła ręce pod głową. Ruch ten był piękny, węzowy, — całe jej ciało było piękne. Słaby rumieniec zabarwił woskowe policzki Matki Przełożonej.

— Może chciałabyś zatańczyć dla nas, moja córko?

Uśmiech znów się pojawił na ustach tancerki i pozostał,

— Chętnie. To mi sprawi przyjemność, pani.

— To dobrze! Przyniosą ci twe suknie. Dziś wieczór po wieczery w refektarzu. Jeżeli chcesz muzyki — wstaw się fortepian. Siostra Matylda jest bardzo muzykalna.

— Tak, muzyki — jakie proste tańce. Czy mogłabym zapalić, pani?

— Oczywiście, moja córko. Każę ci przynieść papierosów.

Tancerka wyciągnęła rękę. Matka Przełożona uczyła jej miękkie ciepło w swych własnych szczupłych dłoniach. Jutro ta ręka będzie już zimna i sztywna!

— Do widzenia zatem, moja córko...

— Tancerka będzie dla nas tańczyła! — to stało się hasłem. Oczekiwano tego, jak cudu. Ustawiono fortepian, zdobyto nuty; przy wieczery szepotano między sobą. Jakież to wszystko niezwykle! Jak zniemacka wtargnęło w życie klasztorne! Wesołe chochliki wspomnień! Ach, co za dramatyczne, przedziwne zdarzenie! Wieczera została rychło ukończona, — uprzątnięto i usunięto stoły, — na długich ławach wzdłuż ścian zasiadło w oczekiwaniu sześćdziesiąt szarych postaci w białych kwefach, — Matka Przełożona pośrodku, przy fortepianie siostra Matylda.

Niemłoda siostrzyczka weszła pierwsza, — za nią, przez długi bielony refektarz, zwolna sunąc po ciemnej dębowej posadzce — tancerka. Wszystkie głowy były ku niej zwrócone — jedynie Matka Przełożona siedziała bez ruchu. Byleby tylko to wszystko nie podsunęło niektórym lekkomyślnym głowom niepotrzebnych myśli!

Tancerka miała na sobie szeroką spódnice z czarnego jedwabiu, na nogach srebrzyste pończochy i pantofelki; stan jej otaczała gęsta szeroka złota siatka, na piersiach — gęsta

srebrzysta tkanina, zudrapowana czarną koronką; we włosy wpięła czerwony kwiat, w ręku trzymała czarny wachlarz, oprawny w kość słoniową. Usta miała zlekka ukarminowane, oczy leciutko podczernione, — cała twarz upudrowana wyglądała jak maska. Stała na samym środku ze spuszczo-nemi oczami. Siostra Matylda zaczęła grać. Tancerka podniosła wachlarz. W tym tańcu hiszpańskim prawie nie ruszała się z miejsca, — kołysząc się, wstrząsana dreszczem, wirując, to znów zastygając w nieruchomej pozycji, — tylko spojrzenia jej fruwały z jednej twarzy na drugą, — na twarzach tych malowało się tyle uczuć odmiennych — ciekawość i zwątpienie, zadowolenie, onieśmienie, zgroza, współczucie. Siostra Matylda przestała grać. Cichy szept przebiegł wzdłuż szeregu zakonnicy i tancerka uśmiechnęła się. Siostra Matylda znów zaczęła grać. Przez chwilę tancerka przysłuchiwała się, jak gdyby pragnąc pochwycić rytm nieznannej melodji, — potem stopy poruszyły się, usta rozchyliły się, stała się słodka i wesoła, jak motyl, — a na twarzach przypatrujących zakwitły uśmiechy i cichy szmer zadowolenia przebiegł szeregi.

Matka Przełożona siedziała nieruchomo z zaciśniętymi ustami i splecionymi palcami. Wizje przeszłości wstawały przed nią i znikwały, jak figurki starej pozytywki. Myślała o swym ukochanym, który zginął podczas wojny franko-pruskiej i o tem, jak wtedy wstąpiła do klasztoru. Ta postać z pogańskiego świata, z czerwonym kwiatem we włosach, z ubieloną twarzą i podczernionymi oczyma, obudziła w niej tęsknotę za jej własnym, minionem, wesoło tętniącym życiem, takim, jakim było, zanim zda się zamarło i zanim je przyniosła kościółowi w ofierze.

Muzyka ucichła, i — znów się rozległa. Była to Habanera, budząca wspomnienie o tem życia tętnie — tajemnym, bolesnym, mrocznym — gdy wszystko zostało już pogrzebane. Matka Przełożona spojrzała wkoło siebie. Czy jednak rozsądnie postąpiła? A przecież — jakże nie osłodzić ostatnich chwil biednej poganki — tych chwil tak krótkich! Była szczęśliwa w tańcu. Tak, była szczęśliwa! Co za moc! Co za zapamiętanie! Wprost przerażające. Przykuwała wszystkie oczy — nawet oczy siostry Ludwiki — jak wąż przykuwa oczy królika. Matka Przełożona prawie się uśmiechnęła. Biedna siostra Ludwika! A dalej, obok tej twarzy jakby zahipnotyzowanej zgrozą, widziała siostrę Marję. Jak to dziecko patrzyło — co za oczy, co za usta! Siostra Marja — taka młoda, zaledwie dwudziestolet-

nia—ukończony jej zginął na wojnie— rok temu! Siostra Marja — najładniejsza w całym klasztorze! Ręce jej — jakże kurczowo zdawały się zaciśnięte na kolanach! I... ależ tak — to na siostrę Marję patrzyła tancerka, ku siostrze Marji zwracały się węzowe ruchy tego smukłego ciała! Dla siostry Marji to się pojawiał to znikający słodki uśmiech na tych czarujących ustach. Taniec następował po tańcu i w każdym z nich tancerka zdawała się lgnąć do siostry Marji, jak pszczoła do ulubionego kwiatu. Matka Przełożona pomyślała: „Czy uczyniłam dzieło miłosierdzia, czy dzieło szatana”?

Tancerka przesłiznęła się wzdłuż szeregu zakonnic, — oczy jej płonęły, twarz była pełna dumy. Ku siostrze

Marji skierowało się jej spojrzenie, ruch wachlarza, pocałunek przesłany od ust „Gracias, Senoras! Adios”!

Kołysząc się zwolna tak, jak przyszła, wysunęła się z sali po ciemnej posadzce, a za nią siostra-starszka.

Szmer westchnienia przeszedł wśród zakonnic i... tak... jedno łkanie!

— Idźcie do siebie, moje dzieci! Siostrze Marjo!

Młoda zakonnica zbliżyła się — lży miała w oczach.

— Siostrze Marjo, módl się, aby grzechy tej biednej duszy zostały odpuszczone. Tak, moje dziecko, to smutne. Idź do swojej celi i módl się.

Z jakim wdziękiem to dziecko się poruszało! I jej ciało było piękne. Matka Przełożona westchnęła...

Zimny i szary poranek, ziemia lekko śniegiem przyprószone. Przyszli po tancerkę podczas mszy. A potem odgłos strzałów! Drżącymi ustami modliła się Matka Przełożona za duszę, co teraz tańczyła już przed Bogiem...

Tego wieczora szukano siostry Marji, ale nie znaleziono. Po dwóch dniach nadszedł list.

— Przebac mi, Matko. Wróciłam do życia. Marja.

Życie ze śmierci! Matka Przełożona trwała nieruchomo w milczeniu. Znowu powstały przed nią wizje przeszłości — i twarz tancerki z czerwonym kwiatem we włosach, z ciemnymi, podczernionymi oczami, i usta, rozchylone w pocałunku!

18)

HELENA CEYSINGERÓWNA

D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ć)

Urywki myśli bezładne, niepowiązane ze sobą, głupie, bez znaczenia płodzą mózgiem zbolewały; rodzą się i uciekają w przepaść niepamięci.

Jak źle! jak nieznośnie źle! Wtem myśl jedna! W zamęcie zrodzona: czego nie mogły lzy i krew tamtych, więc może ten nasz, nadludzki trud!... więc czego nie mogły lzy i krew...

Od myśli tej czyni się brzask w chmurze, która świat myśli zasnuła. Dusza odzyskuje panowanie nad przemęczoną, buntującą się w złości, więzanką nerwów.

Boże!—woła dusza w Nieskończoność — więc czego nie mogły lzy i krew tamtych, więc może ten nasz nadludzki trud do tamtych dołożysz szal...

Więc może tę naszą mękę codzienną bez nadziei i bez nagrody... O Weź, weź te wysiłki i omdłości nasze! może przeważa...

Umysł Wandy chwyta tę nić — i idzie po świetlistym jej szlaku...

Widzi przemęczone oczy p. Kazimierza, niestrudzonego oracza polskich ugorów, co to sypia tylko co drugą noc po godzin parę, a pała swoje i zegarki zastawia „na oświatę”.

Wspomina suchotniczy kaszel tej, co tajną sieć domowego nauczania po Warszawie rozsunęła i z hetmańskim gestem, beztrwożną, z niestrudzoną wytrwałością przewodzi armji głodnych, wichrem zimowym po Powiślu gnanych, nauczycielek...

Dziesiątki postaci ofiarnych, naznaczonych smętnością mogiłą, wdziałlano wychylają się z mroku...

O Boże!

...Jest nas przecież dużo tych nieznanymi nikomu!...

Jest nas dużo „cichych“, co może „odziedziczyć Ziemię”...

Tak myśli Wanda, a od myśli tej cichnie stopniowo burza rozszalałych nerwów. Mija powoli ból, układa się do równowagi falowań ducha i ciała wzburzona powierzchnia.

Już jej lepiej.

Jakby Moc jakaś błogosławiąca dłoń położyła jej na czoło, jakby stanął obok ktoś dobry i miły... jakby się w tej chwili przełamało nareszcie coś poza nią... w jakimś świecie, którego niema, i który jest...

Wstała. Włosy długie, barwy zbóż polskich opadły ze zmęczonej głowy i falą płową rozsypały jej się po ramionach. Na twarz bładą o wielkich, głębokimi cieniami podkreślonych oczach padł z jasnego błękitu wieczornych niebiosów nikły jeszcze promień księżycowego światła. Podeszła ku oknu. Otworzyła je szeroko. Od dalekich przestrzeni zalaływała świeżość pól.

Tam w dali, tam po srebrzystych łąkach jęczmiennych latają świeże wietrzyki wieczoru, tam przez olch czarnych listowie, igrając po falach strumienia, lecą zielonawe światełka miesięczne... tam wonią leśnych konwalij śpiewa pieśń wiecznie młodą, Dusza Ojczyzny... tam od pól dalekich, od równin bezkresnych, idą wstęgami całymi rusalki krasne... a każda baśń jakąś niesie... sen jakiś złoty... bez końca... bez końca...

W Warszawie — iluminacja! Brzegami chodników płoną kagańce, na placach, na gmachach rządowych w transparentach jarzą się cyfry cesarskie milionem błysków. Górą, w ciemnościach nocy łopocą skrzydła groźnych ptaków... nie, to chorągwie, rozpięte na wicherze wiosennym.

Ulicą płyną wezbrane fale ludzkie. Oficerowie rosyjscy w galowych mundurach, damy o purpurowych ustach i oczach błyszczących, w wielkich, fantazyjnych kapeluszach, studenci, robotnicy, służące, gazeciarze... masa.. tłum... motłoch... Wszystko się kłębi, wzburza, mija. Perliste śmiechy, błyski brylantów, ukłony, rozmowy głośnie... werwa... życie. Latają słówka rosyjskie, francuskie, polskie... powitania, okrzyki, gwar... wielkie miasto!

Chodnikiem, wśród tłumów idzie Wanda i daje się nieść wezbranej fali. Idzie drobna, szara, nie zwracająca niczyjej uwagi... A miasto pali się tysiącem ognia... Wielkie miasto! Carskie miasto! Carska własność! W oczy bije djamentowy szal transparentów... Sława! Moc! Potęga! Siła niewzruszona! Władztwo wieczyste. A ona, co? Co przeciwstawia? Nienawiść? Nienawiść jednego serca? Serca szarej, drobnej postaci z pośród tłumów?... Co za szaleństwo! Śród myśli jej przewijają się słowa: „Jak Samson jednym wstrząśnięciem kolumny”.

W odpowiedzi urągliwie, szyderczo łopocą w górze skrzydła czarnych ptaków...

Myśl cicha, nienawistna leci w dal, poza mury miejskie, poza kiry żałobne zabitej Polski, leci na obszary niezmiernego imperjum. Hej, spaść na te obszary! spaść tam kiedyś „z krzykiem Hunna”! Szumem husarskich skrzydeł zamąć martwą ciszę ogromu! Ponieść zemstę umarłych! Śmierć! Zniszczenie!...

Miljonem błysków goreją cyfry cesarskie...

To — rzeczywistość!

Zgasić te błyski! Roztrącić moc przeklętą! Zagiew przyłożyć do pałaców i płomienie zalać! zalać krwią caral Idzie szybko postać nikła, drobna, uwagi niczyjej nie zwraca i ginie w wezbranej fali miejskiej.

A na mieście późno w nocy goręją światła; milionem brylantów, mżą litery carskiego imienia...

ROZDZIAŁ XIII

BEZDOMNI

W zrujnowanym domku, na przedmieściu wynajęli Sokołowski dwa pokoje. Napełnili je zwiezionym ze wsi sprzętem, wśród obszarpanych, dziurawych sof, połamanych krzeseł przewijały się rzeczy drogocenne: jakaś stara makata, kryształ w srebro oprawny, lustro weneckie, obraz sławnego pędzla, pergamin odwieczny...

Na tych resztkach bogactw osiedli, z przerażeniem niemem patrzący w oczy przyszłości.

Za nimi był Gostków... już stracony! za nimi obelgi niezaspokojonych wierzcycieli, złorzeczenia służby i najemników i; za nimi ból rozstania ze wszystkim, co dotąd towarzyszyło życiu:

Przed nimi — coś nieznanego, a nie spodziewali się pomyślności.

Pierwszy z osłupienia ocknął się Sokołowski i począł gorączkowo zabiegać o posadę. Wystawał po przedpokojach różnych dyrektorów, kołatał do drzwi dawnych przyjaciół, którzy na ulicy udawali, że nie widzą, lub nie poznają... bankruta!

Po kilku miesiącach niewypowiedzianych goryczy, gdy już wyprzedali prawie wszystko, co posiadało jakkolwiek wartość, udało się Sokołowskiemu zdobyć posadę konduktora tramwajowego. Rad był i temu. Byle z założonymi rękami nie patrzeć na nadciągającą nieuchronnie nędzę — Jednocześnie jedna z córek dostała zajęcie w aptece, jako kasjerka. Dochody te, razem wzięte, broniły ich od śmierci głodowej, ale nie wystarczały na jakie takie istnienie.

Więc Sokołowska wynosiła codziennie z domu resztki dawnego dobytku i niosła do handlarzy, do agentów zagranicznych firm, z którymi weszła w stosunki, jakimiś niespodziewanymi drogami.

Starsza córka spędzała czas na daremnem zawsze poszukiwaniu pracy, a Ninka podłotek piętnastoletni, pełniła, w tem mieszkaniu ubogich ludzi funkcje służącej.

Sokołowska, na razie, jakby cudownym sposobem, odzyskała zdrowie. Uderzenie maczugą bywa chwilowem lekarstwem na inne cierpienia. Znieczula. Zniknęły więc bez śladu dotkliwe bóle głowy, uciszyło się rozdrażnienie nerwowe. Pani Ewelina stała się cicha, milcząca, jakby zadumana o tajemnicach życia.

Ale potem przyszły na nią choroby inne, choroby ludzi ubogich.

Organizm, źle odżywiany nie oparł się przeziębieniu, gdy pewnego razu w lekkim paltociku wracała podczas jesiennej, deszczowo-śnieżnej wichury na dalekie, puste przedmieście, ze zgrzyotą w sercu, bo nie zdołała spieniężyć, ostatniej bransoletki z granatów. na którą jakoś kupiec nie miał ochoty.

Wróciła z sinemi ustami, drżąc z zimna.

Ninka ognia rozpalić nie mogła, bo nie było pieniędzy na węgiel, a na kredyt już dawać nie chciano. Ale zaniepokojona stanem matki, pożyczyla gorącej wody od służącej z sąsiedztwa i napiła przeziębłą herbatą, a potem nakryła ją w łóżku wszystkim, czem mogła. Zabiegi te jednak nie uciszyły gwałtownych dreszczów. W nocy przyszła gorączka. Sokołowska dostała zapalenia płuc. To był początek, a na tem tle zaczęła rozwijać się gruźlica.

Ciężki jest żywot bankruta, eksobywatela, wyrzuconego z rodziną na twarde, nieużyte, jałowy bruk miejski.

A iluż ich te miasta wchłonęły w owym czasie!

Oto szarym, zimowym rankiem, w ubogiej sukience, w letnim płaszczyku biegnie zziębnięta panienska, niegdyś „panienka ze dwora“! Drobne jej stopy w drewnianych bucikach depczą błotniste chodniki, w uszach gwar, hałas, tętent koni dorożkarskich, dzwonki tramwajów, a w myśli jej — cicha wioska, w płowej półkuli powietrznej, w ramach czarnych lasów, bezbronna na olbrzymiej płaszczyźnie, tylko pod pieczę Bogaa... a w tęsknicy jej woń jodeł i moczarów, w zimie nie marznących i krzyk na nich dzikiego ptactwa, i śniegu biel niepokalana.

Takich było wśród ludności wielkomijskiej — legion.

Uczyły się życia.

Zdobywały pracę.

Znosiły upokorzenia.

Przymierały głodem.

Dojrzewały w atmosferze zepsucia.

Różnie bywało, różnie.

I Ninka dojrzewała, z początku szeroko otwierając oczęta, nieświadoma złęgo, a potem przyjmując szybko do wiadomości, jak rzecz naturalną, co jej mówiła ulica Warszawy.

A miała do powiedzenia temu dziecku tak wiele!

Zaczepiali Ninkę weseli starszowie, proponowały dobry i łatwy zarobek nieznanym, dojrzałe niewiasty; raz w tramwaju żyd jakiś ofiarował jej 3 ruble, by z nim poszła wieczorem do Łazienek... Konieczność robienia zakupów wprowadziła ją w stosunki ze sklepikiem, straganem, apteką, jatką. Znano ją na całym przedmieściu i kredytowano chętnie ładnej dziewczynce, choć wiadano, że „u tego obywatelstwa bieda aż piszczy“. Wszystko to, przy wrodzonej ciekawości, wtajemniczyło Ninkę głęboko

w życie całej dzielnicy. Znała wszystkich, o wszystkim wiedziała.

Pewnego razu rzekła do siostry. — Belciu, patrz! ta wystrojona pani, co schodzi ze schodów, to utrzymanka naszego doktora.

Izabelka spojrzała na nią z ironją.

— Cóż to znaczy utrzymanka?

— Myślisz, że nie wiem. To taka panna, co jest u niego na utrzymaniu.

— Widzę, że się kształcisz — z przekąsem zauważyła starsza siostra. Innym znów razem, gdy bezczynne wyglądały przez okno, rzekła Ninka.

— Czy uwierzyłabyś, że ta, co tu idzie — to prostytutka!? Tak przyzwoicie wygląda...

Belcia spojrzała na nią zdziwiona.

— Co ty wygadujesz! Wstydz się! Powiem mamie, jakimi rzeczami się zajmujesz.

— Ach, Belciu, przecież ja już nie jestem dzieckiem! Tę pannę poznałam u rzeźnika. Brałyśmy razem mięso i dopożyczyła mi 40 groszy, bo mi brakło, jak zawsze... a przytem tak serdecznie spojrzała na mnie...

Widząc w oczach siostry oburzenie, zaczęła ją Ninka uspokajać,

— Wierz mi, to bardzo dobra kobieta!

— Ninko, bój, się Boga! Takie znajomości!

— Ależ Belciu, ty doprawdy nie znasz życia. I prostytutka może być człowiekiem. U Dostojewskiego na przykład, w tej książce, którą teraz czytasz, jest taki sympatyczny typ prostytutki... Zosia wiesz.

Izabelli, która nie była zbyt czułą, żal się zrobiło tego dziecka.

— Nineczko — rzekła z troską siostrzaną — na co ci te wiadomości? Czy nie lepiej ci było, gdy o tem wszystkim nie wiedziałas.

— Ach moja droga, wszystko wiedzieć należy — odparła Ninka z powagą, dorosłego i wypróbowanego życia człowieka — Nie wiadomo nigdy, na co się jakaś wiadomość i jakiś człowiek przydać może. Patrz! patrz, — przerwała sobie — ci dwaj studenci też bywają u niej, u Justynki — prawda, jacy ładni chłopcy, zwłaszcza ten wyższy, brunecik z błękitnymi oczami, pan Henryk...

— Czy ty i jego znasz?

— Nie, ale słyszałam kiedyś, jak ona mówiła do niego tak słodko: panie Henryku!...

— Ninko, Ninko! bądź ty ostrożna!

— Ach wiem wszystko. Nie potrzebujesz mnie ostrzegać. Ale powiem ci, że to bardzo niedobrze, że nas tak chowali, żeśmy nie wiedziały o niczem... a potem człowiek jest rzucony na bruk... i może się złapać mimowoli...?

— Nas chowali! — rzekła z goryczą Izabella. — Nas chowali tak, że jesteśmy do niczego i... tylko...

— Puścić się... — dokończyła Ninka.

Izabella popadła w zadumę.

ROMANTYCZNA PRZYGODA IRONISTY

I.

Ta romantyczna przygoda zdarzyła się w roku zeszłym jednemu z dziennikarzy paryskich, najbardziej znanych ze swej werwy kostycznej. Nie darowałby mi, gdybym wydrukował żywcem nazwisko, którym się podpisuje — a które zresztą jest tylko pseudonimem. Nazywać go będę — jeśli pozwolicie — Blondet, przez pamięć na ironistę, występującego w „Komedji ludzkiej”. Kolega nasz przypomina go lekkością swego umysłu, przeraźliwym marnotrawieniem talentu, który mógłby stać się wspańiały, swobodą swych obyczajów, sceptycyzmem zupełnym, i pewną przytem wszystkimi — bezpośredniością, darem poddawania się wrażeniom chwili, a ma przeszło sześćdziesiąt cztery lata.

Blondet ma jedną zasadę: odpowiadać na wszystkie interwiewy, na wszelkie ankiety. Czy jest to reklama czy polityka, kabotyństwo czy słabością, uprzejmością czy złośliwością? Może wszystko razem zresztą. Otóż w roku zeszłym pomysłowi reporter wpadł na pomysł spytania kilku znanych osobistości:

— Co chcecie, aby wam [przyniosła tegoroczna gwiazdka?

Czy tego ranka Blondetowi nie smakowało śniadanie w klubie, gdzie się stołował? Czy która z aktoreczek, w których garderobach chętnie zapominał o swym wieku, brutalnie ten wiek przypomniła? Czy ulegał jednej ze swych manij, którą było postępowanie wręcz przeciwnie niż oczekiwano od niego? Dość że można było przeczytać w pismach — parę wierszy, podpisanych przez niego, zarazem wzruszających i komicznych w naiwnym swym sentymentalizmie.

— Czego chcę od tegorocznej gwiazdki? Aby mi powróciła moje lat dwadzieścia i moją pierwszą miłość“!

Najbardziej paryski ironista współczesny — jak go nazywały pisma — nie myślał już o tym frazesie ze staroświeckiej piosenki, rzuconym przez pióro zwykle mniej czułościowe, gdy znalazł w trzy dni potem, wśród korespondencji swojej, list, którego pisma nie poznał narazie. Po przeczytaniu, zdziwienie wyrwało mu energiczny okrzyk! „A to dopiero“!... nie licujący wcale z sentymentalną tęsknotą gwiazdkowego życzenia.

„Ponieważ p. Blondet, pomimo swej sławy nie zapomniał ani o swych latach 20-tu, ani o przeszłości bardzo odległej, czy chciałby spędzić ostatni wieczór roku z kimś, który także pa-

mięta wszystko?... Jeśli tak, to niech się uda o 7-mej wieczór na róg ulicy du Cirque i Alei Gabriel. Będę trzymać w ręku bukiet fiołków, podobny do tych, które p. Blondet składał codziennie, lat temu czterdzieści cztery, na kamiennej ławce w ogrodzie przy ulicy Notre-Dame w Verneuil, dla Elżbiety D.... dzisiaj wdowy de M....”

— Nie jest to chyba żadna mistyfikacja, myślał Blondet, odczytując kilkakrotnie ten bilecik. Korespondentka załączyła do listu wycinek z gazety. „Moje lat dwadzieścia i moja pierwsza miłość....”

— A zatem Elżbieta żyje? Owdo-wiała?... Elżbieta — powtórzył głośno kilkakrotnie, a czar tego imienia wywołał szereg obrazów przed jego oczy.

Starzejący się kronikarz ujrzał siebie w Verneuil, ze świeżo zdobytą maturą w kieszeni, z głową pełną rymów, śniący już wówczas o sławie literackiej. Przechadzał się tam i z powrotem pod lipami, oceniającymi dawne wały miasta, a serce jego było radośnie na myśl, że ujrzy smukłą postać dzisiejszej staruszki — musiała mieć teraz lat sześćdziesiąt — dwa — a wówczas młodej panienki. Ukazywała się, idąc przy boku matki, skromna i delikatna. Jasne jej włosy błyszcząły w słońcu, przesiewanem przez szerokie konary drzew. Czarowny zapach lip rozkwitłych napęlił przestwór słodyczą, która łączyła się harmonijnie z wdziękiem uroczej dziewczyny.

Elżbietka miała oczy cudnie niebieskie, które stawały się ciemne, niemal czarne, gdy zakochany młodzieniec zbliżał się z powitaniem, a różowe policzki oblewały się purpurą. Jakże ładną bywała jeszcze, gdy w niedzielę po mszy, zatrzymywała się chwilę na progu starego kościoła, zawsze w towarzystwie matki! Z mszy u wejścia wyglądał posąg S-tej Anny w stroju bretońskim, podobny w wyrazie do młodej dziewczyny, jak jej siostra mistyczna.

Wszystkie epizody naiwnego romansu przesuwały się w jego pamięci: spotkania, nieśmiałe wyznania, kwiaty posyłane, przyrzeczenia zamieriane, niewinne pocałunki, przelotne uściski, potem korespondencja przejęta, obie rodziny radzące nad rozłączeniem młodych, Elżbietka wysłana do ciotki w Saint-Lo, on wyprawiony do Paryża. Na zakończenie — historia zwykła: ona, pozwalająca wydać się zamąż, a on już niewierny, gdy ta wiadomość go doszła i nie mający prawa oburzenia się na niestałą. Uczynił to jednak z piórem w rękę,

i niemal szczerze, ze zwykłą nielogicznością mężczyzny, dla którego ideałem, wedle słów mądrego moralisty, będzie zawsze oszukiwanie kobiety wiernej. Potem nic więcej. Wszelkie stosunki pomiędzy pisarzem a malowniczą panną z nad Awry — ustały. Ojciec jego, urzędnik państwowy, chwilowo tylko zamieszkiwał Verneuil. Blondet kilkakrotnie postanawiał sobie: „Pojadę tam kiedy”. I zawsze odkładał do stosowniejszej chwili ten projekt podróży, stanowiącej raczej pielgrzymkę do ciekawych zabytków miasta — a także, niejasno, do widma pierwszej miłości. Myślał o tem, odpowiadając na ankietę: „Gwiazdka tegoroczna”.

— I po co się z nią widzieć — zakonkludował, kończąc te rozpamiętywania, będące niemal halucynacją. Na to, aby zamienić śliczną twarz, którą widzę wzrokiem wewnętrznym na maskę zmarszczoną, zdefigurowaną, wyblakłą, ten serdeczny żal na wstręt, majowe marzenie na ponure widmo grudniowe? — Napiszę dla poprawności, aby nie przychodziła wcale.

Sięgnął po listowy papier i począł pisać. Trudno widocznie znaleźć było odpowiednie słowa, gdyż on, mistrz pióra, wahał się kilkakrotnie. Podarł jeden bilecik, drugi, trzeci i wstał nagle:

— Otóż nie, pomyślał, niech raczej przyjdzie. Ciekaw jestem, jakie kłamstwo wymyśli na usprawiedliwienie swego małżeństwa i w jaki sposób zechce mię nabrać na sentyment sześćdziesięcioletni.

I uśmiechnął się najzłośliwszym ze swych uśmiechów. Niedaleki był w tej chwili od przekonania, że jego korespondentka z Verneuil, opuszczając go niegdyś, istotnie złamała mu serce i popsowała życie. Byłby szczerze zdumiony, gdyby mu przypomniiano, że w tym samym czasie, chętnie oprowadzał pod rękę po knajpach Quartier Latin, miłą osobkę, wabiącą się niezbyt poważnym imieniem: Irma Smarkula.

II.

Blondet wciąż trwał w tym samym nastroju, gdy wysiadał z samochodu, w miejscu naznaczonego spotkania, o wskazanej godzinie. Im bliższa była chwila tego niezwykłego widzenia się po dziesiątkach lat, tem bardziej sobie wymyślał, że się zgodził na nie. O szóstej, zjawilo się u niego dwóch młodych kolegów i dwie sztywne diwy małego teatryku. Możecie sobie wyobrazić to wesołe szczebiotanie.

— Porywamy cię, drogi mistrzu...
— Tak, tak, Blondet, obiadasz z nami... Wieczór spędzimy na rewjocie w ***.

— Śpiewają tam kuplety bajeczne... i niemożliwe...
— Grzebiemy stary rok całą bandą...

I posypała się litanja nazwisk.
— Jesteście strasznie mili, — odpowiedział mistrz, ale dziś obiadam z krewnymi z prowincji.

— Wypuszczą cię chyba o dziesiątej. Przyjdź do teatru, łoża parterowa D.

— Doskonale. Ale dla większej pewności, gdzie będziecie na kolacji? Wymienili mu restaurację, gdzie mieli obiadować i tę, gdzie miała być kolacja.

— Wiesz teraz gdzie nas znaleźć, jeśli ci przyjdzie natchnienie. I poszli sobie.

— I gdzie ja miałem głowę?... myślał, w chwili płacenia szoferowi, na rogu ulicy du Cirque. Przecież mógłbym doskonale zjeść z nimi obiad. Elżbieta nie będzie mi zawracała głowy więcej, niż pół godziny. — I głośno do szofera. — Proszę na mnie zaczekać.

A jednak pulsy były mu tętnem przyspieszonym, podczas gdy obrzucał plac wzrokiem. Znajdowała się tam kobieta, która szła ku niemu. W rękę trzymała bukietik fiołków. To była ona. Krok jej był jeszcze lekki, kibić jeszcze wysmukła. Gdyby światło latarni ulicznej nie igrało na jej białych włosach, niktby jej nie dał sześćdziesięciu dwóch lat, o których dawny wielbiciel nie mógł wątpić. Niestety! wystarczało mu pomyśleć o własnym wieku!

Elżbieta zachowała dawną sylwetkę, ładną giętkość ruchów, a także piękność swych oczu. Głęboki ich błękit świecił za siatką woalki. Delikatne jej rysy zaostriły się i uwydatniły, ale bez karykaturalnych zmian, które pisarz obawiał się znalesć. Oto jeden z przywilejów, będących udziałem tych, których uroda składa się z subtelnych odcieni, zstarzała się, nie tracąc wdzięku. Było coś melancholijnego i wzruszającego aż do bólu dla kogoś, co niegdyś ją kochał, w tej postaci. To była ona, zniszczona, skończona; ale ona istotnie, stara kobieta, uroczą jak widmo minionej jej młodości. Głos jej, który się nie zmienił, zadźwięczał tą samą, nieco śpiewną głębią, upajającą go niegdyś pod lipami Verneuil, gdy zbliżywszy się powiedziała:

— Dziękuję, że pan przyszedł. Poznałam pana z portretów. Mnie poznać pan nie mógł...

A ponieważ chciał protestować:
— Dawno już nie mam kokieteryj, — mówiła, niech pan nie zadaje sobie trudu kłamstwa wobec kobiety, której wnuczka wyszła za mąż w tym roku i ma zostać matką. Tak! to prawda istotna. I bardzo jestem

szczęśliwa, że rzeczy się tak mają. Gdyby nie te białe włosy, nie byłabym tu teraz z panem. Nie miałabym prawa spytać: Czy chce pan zemną zjeść obiad?..

Niezwykłe to zaproszenie wygłosiła z taką nerwowością, że od razu można było zrozumieć, że była to rzecz zgoła dla niej nowa i postanowienie powzięte po długich wewnętrznych wahaniach. To nagłe nawiązanie stosunków zażyłych, po przerwie blisko pół-wiecznej, było czemś tak fantastycznym, tak całkiem nieoczekiwanym, że Blondet usłyszał głos swój, odpowiadający: „Tak!” jak gdyby słuchał głosu obcego. Odzyskał pełną świadomość rzeczywistości dopiero później, gdy znalazł się przy stole, naprzeciwko tej, której nie widział od jej dwudziestego roku, w saloniku hotelu, równie prowincjonalnego jak ona — a położonego przy ulicy des Sains Pères. To staroświeckie otoczenie nic wspólnego nie miało z salą ultra-modernistycznej restauracji, gdzie w tej chwili przygotowywano dla niego nakrycie pomiędzy pannami Djaną d'Azuly i Zofją Durand — (tak się zwały obie diwy) — tak jak rozmowa na tle muzyki cygańskiej, jakąby wiódł z dwiema gwiazdami, nie przypominała w niczem słów, które zamieniał z panią de M..., zapytując siebie jednocześnie w duchu.

— I co to wszystko ma znaczyć?..

III.

— Pan bardzo się zdziwił, otrzymawszy mój list, nieprawdaż? Proszę się przyznać — powiedziała w pewnej chwili, gdy służący, podawszy owoce, wyszedł z pokoju.

Dotąd rozmawiali tylko o sprawach bieżących. Ona wypytywała go o jego prace, o kolegów, o tryb życia, on dowiadywał się o dawne ich otoczenie w Verneuil, o osoby jeszcze żyjące. Zdołał skonstatować, że doskonale była obznajmiona z jego pracą literacką, a także że surowy spokój jej życia zachował ją dziwnie młodą i subtelną. Gdy wymówiła te słowa: „Proszę się przyznać...” poznał po nagłej zmianie intonacji głosu, że chce wyjawic tajemny cel kroku, który dla niej musiał być rzeczą niesłychaną — nawet do pomyślenia. Była tak istotnie „damą”, że wszystkiemi przesądami, z całą wyniosłą rezerwą, jaką rozumieć trzeba pod tą nazwą, nieco wyszukaną, ale tak prawdziwą...

Ciągnęła dalej:

— Dawno już chciałam napisać do pana. I nieraz pisałam. Tylko, że listów tych nie posyłałam nigdy. Myślałam sobie: zapomniał o mnie, a to, co ma dla mnie taką wagę, przyjmie może wzruszeniem ramion... Lecz gdy przeczytałam w pismach te parę słów, dowodzących, że przeszłość nie całkiem zamarła dla pana, nie mogłam

oprzeć się chęci rozmówienia się i tu zawahała się chwilę — i usprawiedliwienia...

— Z czego? spytał. Że pani wyszła za mąż, posłuszna woli ojca i matki? Racja była po ich stronie. Wtedy już marzyłem o karierze pisarskiej — a nie jest to wcale zawód dla męża... zakończył, śmiejąc się. Wzruszenie coraz większe z jakim przemawiała jego partnerka, przejmowało go obawą przed jakąś sentymentalną sceną, któraby popsuka oryginalność tego spotkania, niemal pośmiertnego.

— Tak odpowiedziała. Ja także myślę, że oni mieli rację. Ale ja nie miałam racji, zrywając z panem, tak jak to zrobiłam, bez jednego słowa... Jest prawość serca. Ona nakazuje nie zrywać pewnych zobowiązań, nie łomacząc, czemu... Inaczej wyrządzić możemy zło moralne, bardzo nieraz w skutkach swych ciężkie... Pan jest wspaniałomyślny. Pan sobie powiedział: Po co powracać do spraw niecofnionych?... A mnie właśnie chodzi o to, aby do nich wracać. Mówiłam panu, że kokieteryj nie mam. To nieprawda. Mam jeszcze tę, że pragnę, aby nieporozumienie z przed lat czterdziestu zostało wyjaśnione, gdyż nie zasłużyłam, aby mię pan surowo sądził...

— Ależ, pani, zapewniam...

— Przeczytałam wszystkie książki pana, przerwała, i chyba wszystkie artykuły. Niektóre sprawiły mi ból goryczą i sceptycyzmem, których odgadłam przyczynę. Pan jej zresztą nie ukrywał. Ileż razy pan wspomina o rozczarowaniach przedwczesnych, o tem pierwszym starciu z rzeczywistością, które ściera z serca „cały pupek świeżości...” To pana wyrażenie. Jest jedna kronika pana, zatytułowana: „Po wyjściu z druku”. Pisana z humorem. A jednak nie mogłam jej czytać bez wyrzutów sumienia. Kreślił pan w niej własny portret w dwudziestym drugim roku życia. Mówił pan, że w tym czasie zaszło zdarzenie, które na zawsze wyleczyło pana z naiwności. Dowodził pan, że w życiu przychodzi godzina — widzi pan jak dobrze pamiętam? — gdy istota nasza kształtuje się na pewną ostateczną modłę, jak książka, która wyszła z druku, i że taka godzina nastaje wtedy, gdy się jest zawiedzonym po raz pierwszy w najczystszych swych uczuciach... Ach! zrozumiałam od razu, że pan myśli o brutalnem zakończeniu naszej ślicznej idylli... Wszystko się wiąże. Zwątpienie serca prowadzi do zwątpienia ducha... Ileż razy mówiłam sobie: Gdyby nie był stracił wiary... A teraz, czy rozumie pan, dla czego przed śmiercią chciałam oczyścić się przed panem z czynu, który wprowadziłem popełniłam, lecz dla przy czyny, zupełnie dla pana nieznanej...

Z CYKLU: „PROFILE ROMANTYCZNE“

MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824—26)

Była już ubrana, by udać się na posłuchanie u cesarzowej. Kobieta szła szukać ratunku u kobiety.

Karolina Augusta, księżniczka bawarska, Franciszka I-go czwarta i ostatnia żona, była to pani rozumna i łagodna, o twarzy nieładnej, ale tchnącej dobrocią.

Hr. Wurmbrand usposobił ją dla Teresy najżyczliwiej, wysławiając jej ogromną miłość dla męża. Wielki ból, wryty na bladej twarzy petentki i pochylający wyniosłą i piękną postać wzruszył serce monarchini. Podniosła Teresę z klęczek, wzięła w ramiona, posadziła obok siebie i oddaliwszy damy dworu wypytała dokładnie o sprawę. Przrzekła, że pomówi dziś jeszcze z cesarzem i zrobi, co będzie w jej mocy.

Patryarchalny monarcha kołysząc na kolanach niezliczony zastęp wnucząt, nie zdobył się w ten wieczór łagodnego święta rodzinnego na odruch litości. Gabrijel Casati otrzymał z rana 25-go grudnia, krótki i smutny bilecik hr. Wurmbanda:

„Jej C. Mość rozmawiała wczoraj cesarzem, jak to obiecała hrabini. Niestety tyle jest dowodów nagromdzonych przeciw hr. Confalonieri, że nie można dać jej nadziei“.

Bufnie powiedziano jednak Teresie, że nie traciła zupełnie otuchy. Dobracesarzowa nie dała za wygraną i sądziwała się, że używszy pewnej dyplomacji, potrafi wpłynąć na złagodzenie decyzji swego małżonka. Niech lko rodzina postara się by jaknajprzejwniesiono z arystokratycznych kół Medjolanu suplikę o ułaskawienie hrabiego.

Z drugiej strony oświadczone żonie, że jej jeszcze inny sposób uratowania szańca. Niech się ukorzy ten buntowniczy duch, niech złoży szczere, ładne, wyczerpujące zeznanie, który oświetliło tajne arkana, grożące okojowi państwa! Niech wymieni swą współpracę i te ogniiska zagranicę, co podsycają zgubny ogień buntu! Dda tem wielką przysługę sprawie i porządku i może się spodziewać nawet rewizji procesu. Dołoży temu starań najlepszych sam ksią Metternich.

Niech się kłująca żona zastanowi! Niech zwży skrupuły swoje i męża, i ratu go, dopóki czas jeszcze!

Teresa zacisnęła usta, aby gorzkiem nie wybuchł protestem: Nie, on się nie upokor. Nie, on niczego nie wyzna! krzycząc w niej obudzoną dumą i dopomóż do opanowania rozdzierającego bólu

Kochała męża ponad życie własne, żadna ofiara nie była dla niej zbyt wysoką, aby go ocalić, ale jej prostolinijna natura, nie dopuszczała żadnych kompromisów. Mogła mężowi przebaczyć, gdy ją zdradzał i opuszczał, nie zdołałaby mu nigdy przebaczyć zdrady ojczyzny. To już nie byłby on, zabito by w nim duszę, ratując ciało. Na szczęście była jego pewną, tak samo jak on jej. I w tym błysku poczucia, że przecież śmierć nie jest najgorszym z nieszczęść, znalazła siłę, aby z bohaterką rezygnacją spojrzeć w twarz okrutnej ewentualności i „zrobić Bogu ofiarę ze swego bólu“.

W same święta Bożego Narodzenia wracali podróżni. Śnieg zasypał alpejskie przełęcze. Walcząc z zamiecią, konie szły krok za krokiem. W Teresie zamierało serce: czy nie wrócić za późno? czy żyw jeszcze ten, o którego głowę walczyła?

W drodze rozchorował się hrabia Witaljan i został w Feldkirchen. Teresa i brat jej dotarli do Werony 29 grudnia wieczorem, pobiegli do prezydenta Najwyższego Trybunału, by się dowiedzieć, czy wyrok już ogłoszony? Dygnitarz odpowiedział im z bezlitosnym pedantyzmem, że urząd nakazuje mu tajemnicę i nie może im niczego powiedzieć.

Półżywa z trwogi, ze straszmem widmem szubienicy w oczach, przyjeżdżała Teresa w ciemną noc 30 grudnia do Medjolanu. W domu uspokoił ją brat młodszy Kamil, że Fryderyk żyje, żyje z pewnością, choć nie brakło plotek, to o jego śmierci z choroby, to o egzekucji potajemnej w obrębie więzienia.

Nie zdejmując podróżnego płaszcza, pospieszyła do domu Manzoni, by uprosić wielkiego pisarza o napisanie supliki, któraby zdołała wzruszyć serce cesarza

— A jeżeli on wcale nie ma serca? — rzekł zadumany poeta, ale w tej chwili zasiadł do biurka, by spełnić prośbę kobiety, którą wysoko cenił. Słynny pisarz bohaterem nie był i sam siebie nieraz karcił za nerwową trwożliwość, która nie dozwalała czynom jego stać na równi z wzniosłymi, w poezji głoszonymi hasłami.

Przyjaźń dla towarzysza młodości, żal nad jego losem, zgłuszyły w nim tym razem obawę kompromitacji. Pod gorąco napisaną supliką, pierwszy położył podpis arcybiskup Medjolanu.

Był to Niemiec: Gaisruck, jak fama twierdziła, syn naturalny Józe-

fa II-go, starzec już, oryginał, i słynny weredyk, który sobie niewiele robił z samego cesarza.

Głaszcząc litościwie pochyloną przed nim głowę Teresy, rzekł do Casatego: „Czemu wy nie dajecie umrzeć spokojnie temu biednemu hrabiemu? poszedłby do nieba, a conajwięcej do czyśćca, a tak gotów zaznać piekła na ziemi“.

Arcypasterz znał widać dobrze „łaskawość“ cesarską.

Do kilku godzin arkusz pokrył się setkami podpisów najznakomitszych osób w stolicy Lombardji i Gabrijel Casati już wieczorem 31 grudnia spieszył, nie szczczędając koni, w powrotną drogę do Wiednia.

Teresa zaniósła prośbę do „C. K. Komisji I-szej instancji“ o pozwolenie zobaczenia się z mężem: „łaski, której jej od 29 października ustawicznie odmawiano“.

Odmówiono i teraz, nie dopuszczono też listów. Teresa miała jednak drogi tajne i za pośrednictwem Matyldy Dembowskiej doniosła mężowi, że wyrok zapadł i cofnąć go można jedynie za cenę—hańby.

„Cześć Tobie, o Tereso — przypomni kiedyś więzień—i mężnej przyjaciółce naszej, iżście w fatalnym momencie ani chciały, ani próbowały mnie zachwiać, aniście mnie sądziły zdolnym do upokorzenia się“.

Tak z wizją śmierci przed oczyma, rozdzieleni, a ściśle spojeni myślą, przepędzili małżonkowie rok nowy 1824, samotni oboje: on w swojej celi, pilnowany przez nieodstępną straż, jaką od chwili wyroku przydawano skazanym, ona w równie bolesnej pustce ogromnego pałacu.

Dwadzieścia trzy dni przepędził Confalonieri w obliczu śmierci. O wyroku dowiedział się zaraz, choć nie oficjalnie, a nie łudził się nadzieją, by cesarz mu przebaczył. Przez długą chorobę oswojony z alternatywą zgonu, przyjmował ją stoicznie. Nie mógł tylko opanować wstępu przed szubienicą i opierając się na tem, że matka jego z węgierskiej pochodziła rodziny, próbował wyzyskać na swą korzyść prawo szlachty madziarskiej, która mogła być tracona jedynie mieczem. Objasniono go jednak, że cesarz podania tego nie uwzględni. Drugiego życzenia za to nie mogło mu odmówić prawo. Fryderyk zapragnął dać jedyny, na jaki stać go było teraz, dowód swej wdzięczności dla żony, zapisując jej cały majątek, dokąd jeszcze służyło mu prawo rozporządzania swem mieniem.

10)

CEL I ZADANIA PEDOLOGJI

Zatem,—obok, dawania dzieciom, niekrępowanej żadnymi przepisami, ani kierownictwem, możności bawienia się, wprost dokazywania i hasania na świeżem powietrzu, na murawie łąk i lasów, — doskonałym i celowym zajęciem dla małych dzieci są ćwiczenia gimnastyczne, zatem gimnastyka szwedzka, gimnastyka na przyrządach, a także plastyka. Wszystko to ujęte być musi w karby fachowego kierownictwa, z uwzględnieniem podanych przez domowego lekarza wskazówek, jakie mięśnie u danego dziecka winny być ćwiczone intensywniej, a jakie, natomiast, wymagają oszczędzania.

Obok tej pierwszej grupy zajęć ruchowych stanowią grupę drugą zajęcia, mające na celu rozwijanie i doskonalenie zmysłu obserwacyjnego dzieci. Przytoczony już dr. Czerny zaznacza, że zbyt mało kładzie się w wychowaniu najmłodszych nacisku na pobudzanie naturalnego pędu dziecka w tym kierunku, oraz że i szkoła także zbyt mało przywiązuje wagi do rozwijania umiejętności ścisłego obserwowania. Poleca on w tym celu zajęcia, przy których dla rozwiązania najprostszyc zadań potrzebne jest najdokładniejsze stosowanie się do danego wzoru czy modelu, zatem przedewszystkiem wszelkie układanie, figur i domków z klocków. W tem pierwszym stadium mają doskonałe zastosowanie t. zw. dary Froebela, nie tylko rozwijające zmysł obserwacyjny dziecka, ale ćwiczące zarazem jego wytrwałość, czynnik tak doniosły, a tak mało uwzględniany przez najbliższe otoczenie dziecka w wieku przedszkolnym. Dzieci, których matka nie wdraża w ciągły pierwszy sześciu lat do wytrwania w każdym przedsiębranym zajęciu, bodaj właśnie w układaniu klocków, nie będą w stanie czynić zadość wymogom szkoły, a w późniejszym życiu praktycznym w ciężkie będą wchodziły konflikty z pracą swoją zawodową. Zatem pierwszymi już zajęciami dziecka, mającymi nawet do pewnego stopnia cechy gier, musi kierować matka w tym sensie, aby nie pozwolić dziecku rzucać roboty nieskończonej, albo, jeśli będą to np. wyszywanki włóczką, czy przepłatkanki kolorowymi wstążkami z papieru, wykonywać jej niedokładnie. Po za tem przyzwyczajając należy dzieci od lat najmłodszych, aby starannie sprzątały, układały i chowały wszystkie, używane przy tych zajęciach, utensylja, co pobudza i ćwiczy zmysł porządku. Od układania, sprzątania i chowania zabawek, i gier przechodzić potem należy do utrzymywania w porządku wszystkich części noszonego przez dziecko ubrania. Samo porządkowanie i układanie jest niezmiernie po-

zytecznym i kształcącym zajęciem dla małych dzieci, przyczem znów jednakowo zupełnie obowiązek ten ciążyć winien na dziewczynkach jak i na chłopczykach.

Czynnikiem wychowawczym stanowczo niedocenionym — zwłaszcza wśród sfer zamożniejszych — jest też wczesne zaprawianie dzieci do wykonywania pewnych posług domowych, jak np. nakrywania do stołu, składania serwetek i t. p. lub załatwiania drobnych sprawunków, co daje dzieciom nie tylko dużo satysfakcji, ale nadewszystko uczy samodzielności, dokładności w wykonywaniu zobowiązań i konieczności podporządkowywania się wymogom otoczenia. Niemniej ważnym jest też budzenie i rozwijanie w dziecku za pomocą tego rodzaju zajęć zaufania we własne siły, będącego podstawą całego przyszłego jego życia czynu. Osiągnąć się to daje przy skrupulatnem baczeniu, aby zadania, stawiane dziecku, nie przerażały jego zdolności wykonywania ich. Zbyt częste nieudawanie się przedsiębranych zamierzeń podkopuje zaufanie dziecka do samego siebie i czyni je niepewnym i niezdecydowanym. O ile więc pod wpływem wychowania, ma się rozwinąć w całej pełni siła osobnika, polegająca na usprawiedliwionem zaufaniu we własne zdolności, muszą być zadania, stawiane dziecku, umiejętnie stopniowane, we wzrastającym wciąż kierunku, od łatwiejszych do coraz trudniejszych.

Na tem stopniowaniu zadań polega najgłębiej ujęta treść pedagogicznej teorii Pestalozziego, stawiająca sobie za cel uzdolnienie osobnika do życia samoistnego na drodze systematycznego rozwijania i kształcenia jego sił. Stąd też jego bezgraniczny szacunek dla „metody”, polegającej właśnie na bezustannem przechodzeniu do zadań coraz trudniejszych.

Gdy jednak Pestalozzi przeważny kładł nacisk na rozwój dziecka, jako istoty myślącej, przeniósł Froebel główny punkt ciężkości na jego zadanie życiowe, jako osobnika działającego, przystosowując ideę Pestalozziego do wrodzonego dziecku pędu do czynu. Doniosłość jego odkrycia polega właśnie na popieraniu i rozwijaniu zaufania dziecka we własne jego uzdolnienia i siły. Przez obmyślenie stopniowych pod względem trudności gier i zadań, odpowiadających stopniowym etapom umysłowego i fizycznego rozwoju dziecka, próbował Froebel zastosować w praktyce pedagogiczne swoje poglądy i teorie.

„Do dnia dzisiejszego — utrzymuje wspomniany już przez nas dr. Prüfer, wielce miarodajny autor wybitnych prac z zakresu pedologii i pedagogiki najmłodszych — nie posiadamy nic lepszego w tym celu nad

dary Froebela, które rozumna, znająca siły i uzdolnienie dziecka, matka czy wyszkolona wychowawczyni odpowiednio stosować winna”.

Dotychczas mówiliśmy wyłącznie o zajęciach, przy których daje się dzieciom gotowy wzór do naśladowania lub wskazuje się ściśle polecenie, jakie ma być przez dziecko wykonane. Wszystkie tego rodzaju zajęcia, rozbudzające zmysł obserwacyjny dziecka, wdrażające je do systematyczności, wytrwałości i porządku, krzepiące jego ufność we własne siły, są tem samem doniosłymi czynnikami wychowawczymi, których znaczenie stale bywa niedoceniane. Wykluczają one wszakże udział, niezmiernie ważnego w organizacji duchowej każdej jednostki pierwiastka twórczego, który, oczywiście, znaleźć winien w rozumem, celem wychowaniu szerokie uwzględnienie.

W pierwszym więc rzędzie liczyć się należy z wrodzonym wszystkim niemal dzieciom na kuli ziemskiej pędem do rysowania. Conrado Ricci w swojej monografji: „L'arte dei bambini” (Sztuka u dzieci) słusznie zaznacza, że rysunki u małych dzieci mają raczej charakter symboliczny, aniżeli naturalistyczny i dla tego słysyfikowane bywają zupełnie nieprawdliwie jako karykatury. W rzeczywistości zaś są one tylko opisaniem kreskami i linjami tego, co dziecko wie o danym przedmiocie. Dziecko wie np., że człowiek ma dwie nogi i dla tego zawsze w rysunku swoim wyobraża go z dwiema nogami widocznymi, niezależnie od tego czy ma to być człowiek siedzący, codzący, leżący, czy jadący konno. B. względu na wymogi perspektyw, której dziecko nie zna i nie rozumie, bez względu na wyobrażenie człowieka z profilu czy en face, uszą być na rysunku dziecięcym wie ręce, dwie nogi, dwoje oczu, woje uszu, jeden nos i jedno usta.

Nie do darowania pędem pedagogicznym byłoby wyśmiewanie tego, a nawet wytykanie właściwości. W rysunkach dziecka 6-letniego, a nawet 8-letniego musi być pozostawiona zupełna swoboda wypowiedzenia się. Co najwyżej graniczyć się może kierunek na porównaniu dziecka do rysowania przedmiotów z natury: liścia, gałązki, kwiatu, dzbanka, owocu, garnka i t. p. pozwalając mu wszakże najwinnie, ja widzi, odtwarzać te przedmioty, najl. odrazu kolorowymi kredkami, by rozbudzić w niem poczucie b. Słusznie też powiada Froebel swoim „Wychowaniu człowieka”, „Dajcie dziecku kredę i tabliczkę ołówkową i kawałek papieru, a wnet przed niem i przed wami p. tanie nowe dzieło”.

(c. d. n.)

Emilja Tecka.

LADY STANHOPE

Amazonka anglo-arabska we współczesnej powieści francuskiej.

„Lady Stanhope, pisze jeden z krytyków francuskich, spoczywała sobie spokojnie w grobie, dopóki p. Piotrowi Benoit nie przyszło do głowy wdrapać się na Djunn dla złożenia jej wizyty”. Rzeczywiście od pewnego czasu wszystkie pisma francuskie są pełne ech lub artykułów upstrzonych nazwiskiem słynnej siostrzenicy Pitt'a, ¹⁾ owego genialnego wroga Napoleona, która pogardziwszy cywilizacją europejską, zapragnęła wskrzesić odległe epoki i naśladować królowe Palmiry. Energii i charakteru jej nie brakło, inteligencji również, lecz na nieszczęście zabrakło jej rzeczy marnej, a niezmiernie potrzebnej: pieniędzy, i dumna lady musiała ku końcowi życia kontentować się rolą tajnego szpiega angielskiego.

Otóż postać lady Stanhope oczarowała autora „Königsmarka” i „Atlantydy”, który na tem tle osnuł swą ostatnią i jedną z najlepszych powieści, drukowaną w tym roku w jednej z najpoczytniejszych i najpoważniejszych „revues” paryskich „La Revue de France”, drugiej revue Akademii Francuskiej. Drugiej, bo pierwszą jest stańswiecka „La Revue des Deux Mondes”, założona lat temu 94 przez Franciszka Buloz'a (w r. 1834), w której pisywała niegdyś pani Georges Sand jej współcześni. Tempora mutantur ale „Revue des Deux Mondes” zmienia się mało, więc zrozumiałe jest, że owitano z entuzjazmem cztery lata temu nową revue, założoną przez słynnego powieściopisarza p. Marcela Revost, dokoła którego zgrupowała się zaraz cała „młodsza” Akademia francuska, tak że „La Revue de France” liczy dziś wśród swych współpracowników przeszło 20 „Niesmiertelnych”, jak p.p. Henri de Régnier, sławny poeta, Maurice Donnay, komedjopisarz Jerzy Parto-Riche, Józef Bédier etc. c.

Tego la „la Revue de France” zamieściła piśmiennictwo p. Pierre Benoit „Kasztelanka Libanu”. Bohaterką jej jest piękna hłyna Orłów—p. Benoit umie wybierać wśród arystokracji rosyjskiej—o dziwnym imieniu Athelstane, gdyż z urodzenia jest ona Angielką. Jak więc z tego p. Benoit pozostał wiernym swemu wyczajowi nadawania bohaterkom swoich powieści imion zacznających się stale na A, co już od dawna zauważyli krytycy francuscy. O Athelstane Orłów, to dość blada kopia samej lady Stanhope, którą zresztą pragnie naśladować.

Podobnie jak jej sławna poprzedniczka stara się zbliżyć do Arabów, Druzów etc., mówi wiele o swej przyjaźni i sympatii dla Francji, intriguje z Turcją i szpieguje na korzyść Anglii. Jednym słowem rodzaj kurtyzany politycznej, zdobywającej się od czasu do czasu na wspaniałe pański gest. Ale daleko jej do miary lady Stanhope. Partnerem jej jest kapitan Domèvre, młody i zdolny oficer francuski. Na polu bitwy byłby z niego bohater, ale przeniesiony do sztabu, gubi się w otaczających go sidłach szpiegów angielskich, których ma sam szpiegować, i w końcu wpada w sieci pani Athelstane Orłów. Na szczęście choroba nie pozwoli mu na dopełnienie aktu zdrady względem swej ojczyzny i przywiązany doń przyjaciół-towarzysz broni zatrze ślady chwilowego uniesienia i wyjedna biednemu rozbitkowi życiowemu powrót do służby czynnej. Zagadkowa Athelstane Orłów odjedzie, zdając się żałować swych postępów, a narzeczona kapitana Domèvre umrze z żalu.

Taką jest powieść p. Pierre Benoit, żywa i interesująca, a stanowczo lepiej i poważniej pojęta, niż poprzednie. Lady Stanhope rzuca na nią cień swej imponującej postaci i choć Athelstane i kapitan Domèvre pielgrzymują do jej grobu, jest ona wciąż przytomna, między nimi i może bardziej żywa od nich.

P. Pierre Benoit postąpił przeczornie i ostrożnie, gdyż wprowadzając w ten sposób sławną siostrzenicę Pitt'a do swego romansu, przedstawił ją ze strony legendowej i poetycznej, unikając tem samym kłopotów z krytykami i historykami. Inaczej zupełnie potraktowała kwestję panna P. H. Bordeaux, zapragnąwszy dać nam ni mniej ni więcej, jak historję samej lady Stanhope. Zadanie było oczywiście ponad siły młodej autorki, która zrobiła, co mogła, ale niestety nie mogła pojąć postaci tak skomplikowanej i tak potężnej, jaką była niedoszła królowa Palmiry. Nie mówię już o tem, że brak czasu nie pozwalał autorce na zgłębienie rozmaitych źródeł, które byłyby pogłębiły jej pracę pod względem historycznym. To też książka panny P. H. Bordeaux „Circe pustyni” ¹⁾ wywołała całe mnóstwo polemik i krytyk, z których najostrzejszą była krytyka p. Auriant w „Mercure de France” z 3.IV. r. b. Ten ostatni z dokumentami w ręku usiłuje dowieść pannie P. H. Bordeaux, że kierując się więcej fantazją literacką, niż erudycją popełniła cały szereg błędów historycznych. Nie wiadomo, co odpowie na tę niezbyt uprzejmą krytykę panna P. H. Bordeaux, bo w pismach francuskich każdemu krytykowanemu autorowi przysługuje prawo odpowiedzi, a „Mercure de France” z podziwu godną bezstron-

nością przestrzegając zawsze tego prawa; tymczasem jednak nie przestają ukazywać się artykuły, wzmianki i studia o lady Stanhope. Z tych ostatnich najciekawszym jest artykuł p. Montergneil „Lady Stanhope i pułkownik Boutin”. ²⁾ Przypomina on dziwnie historję kapitana Domèvre i Athelstane Orłów, tylko kończy się tragiczniej, gdyż bohater jej, nie zdradziwszy ani Francji, ani swej żony, ginie w sposób tajemniczy i zagadkowy, pono zamordowany przez górali Libanu. Lady Stanhope żąda i uzyskuje od rządu tureckiego wyprawę karną przeciw domniemanym winowajcom, ale i to nie oświetla sprawy, ani nie daje żadnych wyjaśnień. Z drugiej strony coraz uparciej szerzy się głucha wieść, że pułkownik Boutin został zamordowany na rozkaz lady Stanhope, na której wdzięki okazał się nieczułym. Problemat oryginalny i ciekawy: lady Stanhope admirowała bardzo Katarzynę II-gą; może chciała ją naśladować i pod tym względem, karząc śmiercią tego, który nie chciał jej ulec.

Wincenty—Yves Boutin urodził się 1-go stycznia 1772 r. w miejscowości Luroux-Bottreau, blisko Nantes, i ukończył nauki w tamtejszych szkołach, wstąpił do Szkoły Wojskowej w Mezières, skąd wyszedł ze stopniem oficera. Była to epoka gorąca, Boutin spędził lat 20 w walkach i pochodach, był we Włoszech, w Niemczech, w Szwajcarii. Wysyłają go zwiedzić Algier i Tunis, ujęty w niewolę przez Anglików, ucieka i przywozi cenne wiadomości, które przyczyniły się potem do zawojowania Algieru. Generał Sebastiani w swoim raporcie pisze również o zasługach pułkownika Boutin w Turcji, gdyż oddał duże usługi przy budowie fortyfikacji, i o jego znajomości języków wschodnich. Napoleon I, który umiał używać ludzi, wysłał pułkownika Boutin w służbie wywiadowczej do Turcji, ze szczególnem zaleceniem zbadania stosunków w Syrii i w Egipcie.

Jako skromny podróżny w celach handlowych „pan” Boutin jedzie na Wschód. Niewiele osób zwraca nań uwagę, ale przenikliwy wzrok lady Stanhope szybko zgaduje prawdę. Pociąga ją tajemniczość i mocny charakter francuskiego wojskowego, który trzyma się zdaleka i nie zdradza wcale chęci zostania wielbicielem nieco podstarzałej—liczyła wtedy lat około 40—ale zawsze niepospolicie pięknej lady. Zawiazuje się między nimi korespondencja dość ożywiona, serdeczna i chwilami wyzywająca ze strony kobiety, ostrożna i dość sucha ze strony mężczyzny. Lady Stanhope pisze z pewną wielkopańską niedbałością, ale mimo to skarży się na brak wiadomości i lakonizm listów pułkownika. Zaprasza go do Mar-Elias, gdzie sama mieszka w klasztorze, ale dla niego przygotowała pokój we wsi.

¹⁾ Lady Stanhope ur. 1776 † 1839, była córką lorda Chatham, siostrzenicą Williama Pitt'a, jednego z najświetniejszych mężów stanu angielskich. Jej siostrzenicą Lucy Chatam zaślubiła lorda Stanhope, małżeństwo to nie grało żadnej roli w jej życiu. Do r. 1806 t. j. do śmierci Pitt'a młoda lady literalnie rządziła Anglią, mianując i odwołując dostojników, później pozbawiona tej władzy znenawidziła Anglię i wyjechała na Wschód.

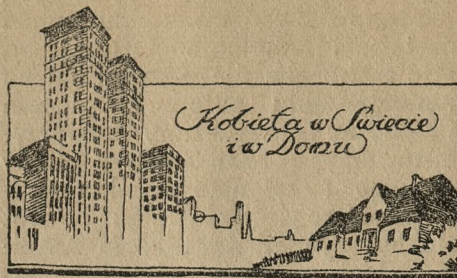
¹⁾ Tak nazwał lady Stanhope Lamartine w swojej „Podróży na Wschód”.

²⁾ „Mercure de France” 15.IX. 1924 r.

Czemu nie przyjeżdża? czy się boi? Ona go przecież „nie zje”¹⁾ bo w tamtą stronę nie chodzi, a zresztą nie ma czasu na odgadywanie „niepojętego” charakteru. Czuł w tem gniew i zawód kobiety arbitralnej, przyzwyczajonej do hołdów i uległości. Chwilami grozi mu w pół-żartem, że każe chyba „swoim Arabom” uciąć mu głowę, aby się nim nie zajmował.²⁾ Ale nie przeszkadza jej to oceniać charakteru pułkownika, budzącego w niej pewien szacunek, i wyznaje, że gdyby wszyscy mężczyźni byli do niego podobni, nie byłoby kobiet nieszczęśliwych i opuszczonych. Pułkownik Boutin odpowiada jej lakonicznie, ale udziela przytem rad z powodu epidemii dżumy, szalejącej naówczas dokoła nich, za co lady Stanhope jest mu dość wdzięczna. Może też samotnemu i walczącemu z tysiącami trudnościami oficerowi wyrwało się kilka słów zwierzeń o dalekiej jego rodzinie, bo korespondentka zdaje się znać jego stosunki rodzinne i wspomina o żonie pułkownika. Jest coś dziwnie tragicznego w tej korespondencji w r. 1814, gdy Aljanci idą do Paryża, a Napoleon toczy ostatnie walki rozpaczne z przeważnymi siłami wrogów. Lady Stanhope ma bardzo świeże i dokładne wiadomości o wszystkim, co się dzieje we Francji, i nie oszczędza francuskiemu pułkownikowi żadnego bolesnego szczegółu. Brak taktu, trudny zresztą do przypuszczenia u tej rozumnej kobiety i wielkiej damy, czy też wyrafinowane okrucieństwo kobiece? Chyba to drugie. Zdobywała się przytem nieraz na uwagi, godne najbieglejszego psychologa, tak np. mówiąc o tem, że Rosjanie nie spalą, zdaje się, Paryża w odwecie za Moskwę, dodaje, że od tego narodu można się wszystkiego spodziewać.³⁾ W innym liście charakteryzuje wcale trafnie Ludwika XVIII., namawiając przytem pułkownika, aby zapomniał o swym ukochanym cesarzu i pogodził się z nowym królem, którego bądź co bądź obrała sama Francja. Zdaje się, że pułkownik Boutin uznawał słuszność tego rozumowania, ale nie danem mu było dowieść tego czynami, gdyż wkrótce potem zaginał bez wieści i mimo ekspedycji karnej, wymuszonej przez lady Stanhope na rządzie tureckim, nie dowiedziano się nigdy, gdzie i jak zginął pułkownik Boutin. Być może, że został zamordowany na rozkaz zagadkowej kobiety, której nie chciał, czy nie umiał kochać, w każdym razie zgon ten osłania mgłą tajemnicy, która zresztą okrywa i życie lady Gester Lucy Stanhope. Niema też nic dziwnego w tem, że owa piękna, demoniczna postać wielkiej damy angielskiej pociągała i pociągać będzie

zawsze wyobraźnię poetów i autorów. Współczesna powieść francuska i wyżej wymienione książki francuskie są jednym z dowodów tego czaru lady Stanhope, nie przestającego działać nawet po jej zgonie.

Dr. M. Kastorska



OD REDAKCJI.

Z dniem 1/X r. b. postanowiliśmy rozszerzyć znacznie rubrykę „Kobieta w świecie i w domu”, pomieszczając w niej wiadomości z życia i pracy kobiet we wszystkich krajach świata.

Wojna światowa przerwała kontakt pomiędzy Polską a Zachodem i odcięła nas na czas jakiś od innych krajów Europy. Dziś, kiedy okres ten należy do przeszłości, musimy starać się powetować czas stracony i zaznajomić się z prądami umysłowymi we wszystkich dziedzinach życia w Europie.

Redakcja „Bluszczu”, jako jedyne pisma w Polsce, poświęcone wszystkim zagadnieniom życia kobiecego, nawiązała kontakt z całym szeregiem pism kobiecych, wychodzących we Francji, Anglii, Włoszech, Szwajcarji, Niemczech, Czechach, Bułgarji, Ameryce i t. d. Z pism tych będziemy stale tłumaczyli i umieszczali w całości, lub podawali w streszczeniu bardziej zajmujące artykuły, mogące dać naszym Czytelniczkom rzut oka na życie kobiet w innych krajach, lub też poruszające zagadnienia aktualne i u nas. Z czasem będziemy mogli otrzymywać tą drogą specjalne korespondencje zagraniczne dla „Bluszczu” — postaramy się również o możliwość przesyłania do tych pism wiadomości z życia kobiecego w naszym kraju.

Jesteśmy przekonani, że czytelniczki nasze powitają z zadowoleniem inicjatywę Redakcji, zmierzającą do dalszego ulepszenia i rozwoju „Bluszczu”, celem uczynienia zeń pisma niezbędnego w domu każdej inteligentnej Polki.

„NAJLEPSZA OBYWATELKA FINLANDJI”.

Miano to nosi w swoim kraju żona prezydenta finlandzkiego, p. Estera Stahlberg. Tytuł zaszczytny, ale i zasłużony. Pani Stahlberg już od wielu lat pracuje na polu społecznym, a wszystkie jej usiłowania zmierzają w jednym tylko kierunku: uczynić z obywateli państwa finlandzkiego społeczeństwo najbardziej uświadomione narodowo, najkulturalniejsze i najbardziej etyczne w Europie.

Rozumna działaczka i gorąca patrijotka, p. Stahlberg zaczęła swą szlachetną pracę od kształcenia młodzieży finlandzkiej, wiedząc, iż w niej to leży przyszłość narodu. Zagadnienia pedagogiczne interesują ją niezmiernie żywo, opublikowała też cały szereg prac w tym kierunku. Rząd finlandzki powierzył jej przed kilku laty, wówczas, gdy mąż jej nie stał jeszcze na czele państwa, odpowiedzialne i zaszczytne stanowisko kierowniczkę Wydziału Szkolnictwa Powszechnego w Ministerjum Oświaty. Na stanowisku tem zdziałała niezmiernie dużo, zakładając wielką ilość szkół, ochronek, schronisk dla sierot po poległych i t. d. Obecnie jest ona przewodniczącą finlandzkiego oddziału Międzynarodowego Towarzystwa Opieki nad Dziećmi — przewodniczącą nie nominalną tylko, ale faktyczną, niezłomowaną pracownicą i kierowniczką.

Pani Stahlberg nie tylko troszczy się o dzieci, jako o najważniejszy czynnik w odrodzeniu swego narodu: kocha je ona też, jako kobieta całą tkliwość uczuć matki. Lecz nie dał jej zaznać radości macierzyństwa; straciwszy nadzieję posiadania własnego dziecka, postanowił tedy wychować małego sierotkę, iko własnego syna. Włożyła w wychowanie tego dziecka całą swoją siłą, całą głębię swej subtelnej wyjątkowej duszy. Chłopak pokochał ją również jako najlepszą matkę, mierzabrawa go jej w osmnastym roku życia.

Cios ten wstrząsnął do głębi sercem przybranej matki. Gdy pierwszy, najsroższy ból zemdlał, pisała książkę, poświęconą pamięci ukochanego wychowanka. Książka ta, pod tytułem „Niedziela” zawiera w sobie niezmiernie prawdziwy, głęboko odczuty opis wszystkich przeżyć tej nieszczęśliwej matki — d radosnych wrażeń pierwszego przudzenia się świadomości dziecka, pierwszego związku uczuć, które otem tak silnymi węzłami połączyły dusze matki i syna — aż do tragicznej chwili rozstania...

Cała krytyka finlandzka przyjęła to dzieło wyraz ogólnego uznania. Realizm opisów głębia odczucia, prawda i szczerość, bijąca z każdej stronicy tej książki każe czytelnikowi zapomnieć o stanowisku autorki, a pamiętać tylko o tem, że przemawia tu kobieta i matka — człowiek, który kocha, cierpi i tęskni. To też „Nie-

¹⁾ ²⁾ List z kwietnia 1814 r. „Mercure de France” z 15.IX.1924 r.

³⁾ List z dnia 4.IX.1814 r. „Mercure de France” 15.IX.1924.

dziela" rozeszła się niezmiernie szybko po całym kraju: dwa jej wydania są już całkowicie wyczerpane.

Pani Stahlberg, tak jak większość jej rodaków, posiada dużą kulturę muzyczną. Pracuje też wiele w kierunku szerzenia zamiłowania do muzyki w swym kraju. Z inicjatywy jej powstało Stowarzyszenie Miłośników Muzyki Kościelnej, organizujące we wszystkich miastach i miasteczkach Finlandji t. zw. Vesperkoncerty, czyli wieczorne koncerty muzyki organowej po kościołach.

Zona prezydenta Finlandji jest najszlachetniejszym typem i wzorem kobiety finlandzkiej. Wykształcona, kulturalna, o temperamentem artystycznym i głębokiem poczuciu obowiązków społeczno-obywatelskich, zasługuje w zupełności na cześć i miłość, jakimi ją otacza społeczeństwo, z którego wyrosła i dla którego pracuje.

RADA KOBIECA W JAPONJI.

Z inicjatywy kilku wybitnych i zasłużonych działaczek na polu reform społecznych i emancypacji kobiet w Japonji, powstała pierwsza w tym kraju „Rada Kobiet pracujących zawodowo“, która ma za zadanie organizować wszystkie siły kobiece, pracujące w różnych zawodach, przeciwdziałać wyzyskowi robotnic, starać się o lepsze warunki pracy i t. d.

KOBIETA CZŁONKIEM INSTYTUTU ROCKEFELLERA.

Słynny Instytut im. Rockefellera dla Badań Lekarskich nie posiadał dotychczas w swym gronie ani jednego członka—kobiety. Obecnie zasada ta została przełamana, od pierwszego września bowiem roku bieżącego w skład jego członków wchodzi kobieta-lekarz, Dr. Florencja Sabiu, zajmująca od kilku lat katedrę histologii na uniwersytecie Hopkinsa w Waszyngtonie.

ZMIANA POGLĄDÓW.

Wśród Hindusów wyznania mużulmańskiego daje się zauważyć od lat kilku silny ruch w kierunku zmiany dotychczasowych poglądów w dziedzinie moralno-obyczajowej poglądów, które, jak wiadomo, nakazywały bardzo surową moralność kobiecie, mężczyźnie zaś pozwalały na bardzo daleko posunięte rozluźnienie obyczajów, sankcjonowane mianem wielożeństwa. Z inicjatywy przywódców ruchu wolnościowego w Indjach powstał także i t. zw. „Klulafat“ t. j. Komitet Odrodzenia moralnego Hindusów-Muzułmanów. Odezwa wydana przez ten Komitet głosi, że powstaje on pod hasłem szerzenia idei jednakowej moralności dla obu płci. „Czystość obyczajów musi być przestrzegana jak najsurowiej w równej mierze przez mężczyzn, jak i przez kobiety. Pragniemy odrodzenia mo-

ralnego naszego społeczeństwa i dlatego walczyć będziemy ze wszystkim, co je poniża i deprawuje: z prostytutką, rozpustą i wogóle wszelkim nierządem, uprawianym czyto jawnie, czy pod przykrywką dotychczas tolerowanych zwyczajów“.

PIERWSZA KOBIETA -LEKARZ W JAPONJI.

Japonki mogą się już poszczycić pierwszą lekarką, — panią Chikako Kuroda, która zdała w tym roku egzamin doktorski na wydziale medycznym uniwersytetu w Tokio i ma zamiar rozpocząć praktykę lekarską w temże mieście. Pani Kuroda pracowała przez kilka lat na polu pracy pedagogicznym, jako nauczycielka, a później kierowniczką wyższej szkoły gimnazjalnej kobiecej w Tokio — pomimo jednak uznania i dużych rezultatów, jakie osiągnęła na tem polu pracy, postanowiła opuścić zawód nauczycielski i poświęcić się do medycynie.

JAK WALCZĄ AMERYKANKI O RÓWNOUPRAWNIENIE?

Zakończeniem uroczystości kobiecego Kongresu w Waszyngtonie (o którym to Kongresie pisała już w „Bluszczu“ uczestniczka jego, p. dr. Budzińska - Tylicka) — był obchód na cześć niedawno zmarłej bojowniczk amerykańskiej o równouprawnienia kobiet, Inez Milholland. Obchód ten miał na celu nie tylko uczczenie pamięci zmarłej, lecz zaagitowanie szerszych warstw kobiecych w kierunku walki o równouprawnienie. Urządzony bardzo uroczysto i z prawdziwie amerykańską pomysłowością, miał on momenty bardzo ciekawe, które chciałabym tu przytoczyć, aby dać czytelnikom naszym obraz metod, jakich używają Amerykanki w celu zdobywania sobie należnych im praw obywatelskich.

Punktem kulminacyjnym całego obchodu był rodzaj misterjów, przedstawiających w żywych obrazach całą historję rozwoju ruchu kobiecego, poczynszy od czasów bardzo odległych, gdyż jeszcze... egipskich.

Uroczystość odbywała się na wzgórzu, poświęconem pamięci Inezy Milholland, w pobliżu jej domu rodzinnego w Meadowmount. Na szczycie góry stał ołtarz kamienny w guście starożytno-greckim, a przy nim kapłanka w białych szatach, z pochodnią Wolności w ręku.

Grupa kobiet w strojach egipskich, ozdobionych złotem i drogimi kamieniami, zbliża się ku ołtarzowi. To — królowa Tiy w otoczeniu swego dworu. Kapłanka uroczysto wręcza jej pochodnię wolności, jako tej, która pierwsza w dziejach świata podniosła głos w obronie praw kobiety i zażądała dla siebie w swym państwie równych praw z małżonkiem swoim, królem.

W ślad za tą egipską monarchią posuwa się, odziany w jaskrawe szaty wschodnie, orszak królowej Vasthi, znanej nam dobrze z opowieści biblijnej, żony Ahaswerusa. Jej to z kolei, jako tej, która wolała raczej utracić tron królewski, niż pozwolić na naruszenie swej kobiecej godności, oddaje poprzedniczką jej symboliczną pochodnię.

Z rąk Vasthi otrzymuje ją Safo. Poetka grecka, przybrana w powiewne, białe draperje klasyczne z wieńcem róż na ciemnych włosach, odbiera od zgromadzonych cześć za to, że pierwsza zażądała dla kobiety prawa do wyższego rozwoju intelektualnego.

Rzymskie matrony w purpurowych i błękitnych togach wnoszą nutę żywych kolorów w śnieżną biel szat greckich dziewcząt, ustawionych szeregiem wokół Safony. Hortensja, która ośmieliła się podnieść głos protestu przeciwko trybunałowi rzymskiemu, chcącemu opodatkować kobiety, jako inwentarz roboczy — ujmuje w ręce płomień Wolności.

A potem — przeskok odrazu do czasów, nam już bliższych, (czyż doprawdy przez tak długi szereg wieków nie było żadnej wielkiej postaci kobiecej, któraby zasługiwała na uczestnictwo w owym pochodzie „bojowniczek Wolności?“) Do ołtarza podchodzi teraz Marja Wollstonecraft, pierwsza feministka angielska, otoczona grupą wieśniaczek, którym starała się wywalczyć poprawę bytu i lepsze warunki pracy.

Za nią idzie Lukrecja Mott, najpierwsza z pośród amerykańskich „sufrażystek“, w skromnym, szarym stroju kwakerskim. A na zakończenie — wysoka postać na białym koniu — oto sama Inez Milholland, którą wyobraża siostra jej, Vida. W białym uniformie zmarłej, ze sztandarem, na którym złotymi głoskami widnieje hasło „równych praw“, w ręku, — jestto, nowoczesna rycerka „wojny krzyżowej“ — jak nazywają Amerykanki swe bojowniczk o równouprawnienie.

Za tą symboliczną już dziś postacią wchodzi cały szereg rzeczywistych jej naśladowawczyń i czcicielek. „Rycerki“ otrzymują z rąk kapłanki pochodnię z upomnieniem, aby jej nie dały zagasnąć. Wysłuchawszy przemówień, zakończających uroczystość, bojowniczk o prawa kobiet odjeżdżają samochodami na... pole walki, czyli kampanję agitacyjną.

Objeżdżać będą całą Amerykę, przemawiając, zwołując wiece, zachęcając inne kobiety do zrzeszania się pod ich sztandarem. Podczas swych występów publicznych noszą specjalny mundur: fioletkowa suknia ze złotymi pasami na piersiach, oraz nakrycie głowy w formie udrapowanego woalu z wyszyciem w kolorze fioletowym, złotym i białym — oznaka, że należą do „Narodowej Partji Kobiet“, walczącej o równe prawa dla wszystkich Amerykanek.

WYCHOWANIE FIZYCZNE I ŻYCIE SPORTOWE Kobiet

LEKCJA SZWEDZKA

Często zdarzyło mi się słyszeć uwagi pań, przyglądających się lekcji gimnastyki czy to na jakich kompletach, czy w szkole. Na niektórych, pamiętających efektowne kółka, krążniki, ćwiczenia ciężarami i t. p. w Sokole, robiła ona wrażenie nudnej i mało urozmaiconej „jak to prawie bez przyrządów, ranna gimnastyka szwedzka” mówiły. Inne, obserwujące mniej powierzchownie, dziwiły się znowu, dlaczego ćwiczenia tak ciągle się zmieniają „jeszcze się dzieci nie nauczyły przysiadu, a tu już jakieś skłony, skoki i t. p.”

Spotkawszy się niejednokrotnie z podobną krytyką, chciałabym wyjaśnić pokrótce, na czym lekcja szwedzka polega.

Przedewszystkiem muszę przypomnieć, że gimnastyka szwedzka nie zasadza się, jak to się u nas utarło, wyłącznie na ćwiczeniach wolnych (czyli bez przyrządów). Bardzo wiele przyrządów, na których ćwiczenia okazały się z rozwojem naukowego traktowania gimnastyki szkodliwymi dla zdrowia, zostało przez Linga usuniętych, zastąpiono je natomiast podstawowymi przyrządami szwedzkimi jak drabinki, ławeczki i t. zw. bum (belka do uwisów). Z dowolniejszych przyrządów pozostały również koń, kozioł, sznur, linki i żerdzie do wspinania.

Rozróżnić można więc ćwiczenia wolne i na przyrządach, nigdy jednak na przyrządach w przeciwstawieniu do szwedzkich.

Przypominając sobie wpływ pobudzający, ożywczy, jaki wywiera ruch (praca mięśniowa) na organizm, łatwo zrozumieć, że lekcja racjonalna, a taką jest szwedzka, musi umiejętnie stopniować tę pracę, stąd podział ćwiczeń na wstępne, główne i łagodzące.

Wstępne, lżejsze, łatwiejsze i krócej wykonywane mają za zadanie całe ciało przygotować, wprowadzić niejako na drogę większych wysiłków; główne doprowadzają ćwiczącego do najwyższego napięcia, najbardziej wyętejonej i trudnej pracy. Łagodzące mają na celu organizm tak silnie poprzednio pobudzony stopniowo przed końcem lekcji doprowadzić do stanu spoczynku i równowagi.

Jest to zupełnie to samo, co w konnej jeździe. Konia, wyprowadzonego ze stajni, nie puszcza się odrazu w galop, trzeba go stopniowo „rozchodzić”. Po galopie przechodzi się w kłus, a potem stęp, odrazu stanąć nie wolno.

Ćwiczenia wstępne będą to lekkie, wolne ćwiczenia poszczególnych członków po kolei. A więc ćwiczenia szyi (głowy), rąk, nóg, tułowia czyli mięśni przodu, pleców i boków. Po wykonaniu tych, niezbyt jeszcze wyęteżających ruchów, organizm zaczyna już działać żwawiej, zwiększając tem możność dalszej pracy.

Clou lekcji stanowią ćwiczenia główne. Jak poprzednie powtarzają one ruchy wszystkich grup mięśniowych, tu jednak ruchy te będą bardziej skomplikowane i męczące, ćwiczenia te są najtrudniejszą częścią lekcji, stosuje się tu już przyrządy.

Ćwiczeniom rąk z pierwszej grupy odpowiadają tu wszelkiego rodzaju zwisy na bumie, drabinkach i t. p. Są one, prócz tego że znakomicie wyrabiają siłę rąk, doskonałym ćwiczeniem prostującym.

Ćwiczeniom nóg odpowiadają biegi i skoki przez sznur, kozła, łączki i t. p. Ćwiczenia te tak estetyczne i naturalne wymagają jednak dużej pracy serca i płuc. Często też widzi się panie a nawet dziewczynki, tak niewytrzymałe i niewyrobione, że przy najkrótszym biegu tracą oddech lub dostają bicia serca, a zwracają kilka razy od nisko zawieszzonego sznura lub kozła, nie mogąc pokonać obawy przed swobodnym lecz energicznym ruchem, jakim jest skok.

Jednym z najważniejszych ćwiczeń lekcji szwedzkiej jest t. zw. napon. Polega on na skłonie tułowia w tył z równoczesnym wypukleniem klatki piersiowej i ściągnięciem mięśni brzusznych. Celem naponu jest wyprostowanie pleców, zgiętych nad stołem lub innym

werształem pracy i rozszerzenie tem skurczonej klatki piersiowej. Jest to ćwiczenie trudne i dzieci dłuższy czas trzeba do niego stopniowo przygotowywać, każąc im przyjmować postawy, zbliżone do naponu (jak np. przyleganie do drabinek z rękami wyciągniętymi w pion i t. p.).

Ulubionem ćwiczeniem dzieci jest każde ćwiczenie równoważne. Wpływają one ogromnie dodatnio na system nerwowy, gdyż wymagają dużego spokoju i opanowania wszelkich niepotrzebnych odruchów, z których najmniejszy nawet nie pozwala nam utrzymać się w wymaganej pozycji. Dziecko cieszą łatwe do osiągnięcia postępy i świadomości, że potrafiło opanować swój lęk przeszedłszy np. przez wąską i dość wysoko umieszczoną kładkę.

Uzyskanie pewnej wprawy w tych ćwiczeniach ma duże znaczenie tak w życiu codziennym jak i w sportach, turystyce, narciarstwie i t. p.

Przy każdym ćwiczeniu gimnastyka szwedzka zwraca ogromną uwagę na prawidłowe oddechanie. Po trudniejszych i bardziej męczących naukach stosuje prócz tego specjalne ćwiczenia oddechowe, mające na celu w danej chwili doprowadzenie większych ilości tlenu, potrzebnych zmęczonemu organizmowi i usunięcie przez silne, głębokie oddechy już tego już powietrza.

Najbardziej zbawienny wpływ wywiera gimnastyka, gdy przeprowadzamy codziennie choćby bardzo skróconą, ale zupełną lekcję t. j. wprowadzamy w nich w ruch wszystkie kolejno, grupy mięśniowe.

W użyciu codziennym ruchy nasze są ogromnie ograniczone, zawsze są w naszym ciele części unieruchomione, w których krążenie odbywa się powolniej, jest prawie zatrzymane. Nie robimy nigdy ruchów zupełnych, na jakie pozwalają nam nasze połączenia stawowe, stale pochylamy ciało naprzód czy to, żeby podnieść coś z ziemi, włożyć obuwie, czy żeby zobaczyć coś z bliska. Zbliżamy ramiona przed piersiami, by pisać lub wykonać jaką inną pracę ręczną, ale nie robimy zupełnie ruchów przeciwnych. Mięśnie ramion, pleców, piersi nie wykonują nigdy, szczególnie u człowieka, pracującego umysłowo, pracy, do której są zdolne, stąd u niewielu są należycie rozwinięte.

Czuując często brak tych ruchów, bezwiednie je wykonujemy, podnosząc ręce i „przeciągając się” po dłuższym siedzeniu. Są to ruchy zupełnie instynktowne i tych właśnie niezbędnych ruchów gimnastyka ma za zadanie ciało naszemu dostarczyć, te zaniedbane ruchy mięśni odżywić i wzmocnić.

Mając równocześnie ciągle na oku działalność płuc i serca, dąży gimnastyka szwedzka do harmonijnego rozwoju człowieka, do zrobienia go pięknie zbudowanym i zdrowym, silnym i zręcznym, a także doskonale opanowanym nerwowo, szybko orjentującym się, a spokojnym.

WIADOMOŚCI SPORTOWE.

W ubiegłym tygodniu odbyły się w Warszawie akademickie zawody sportowe, w których z pośród gości brały udział: Francja, Anglja, Włohy, Stany Zjednoczone, Estonia, Nowa Zelandja. W zawodach lekkoatletycznych akademicy polscy ogólnie wzięwszy uzyskali najlepsze wyniki, jak również w konkursie tenisowym, gdzie dorównali im jedynie Estończycy.

Panie studentki udziału żadnego nie brały. W regatach natomiast wioślarskich stanęły panie na jedynekach i czwórkach klepkowych i czwórkach krótkich. W regatach o mistrzostwo Akademickich Związków Sportowych zwycięstwo odniosła p. Czarnocka. W następnych biegach Warszawski Klub Wioślarski zwyciężył panie z klubu Wojskowego, a Łomżyńnianki pobili Akademicki warszawskie.

21 IX odbyły się przy przystani W. T. W. Międzyszkolne Zawody Pływackie. Żeńskie szkoły, mimo że udział dziewcząt przewidywano, nie stawiły się. Czyżby faktycznie w całej Warszawie nie było ani jednej uczennicy, umiejscowionej pływac?

Tegoż dnia miały miejsce wewnętrzne zawody pływackie Klubu Wioślarek. Zwyciężyła, jak było do przewidzenia, p. Samolakówna. Drugie miejsce zajęła p. Meleniewska.

I. Fabrycowa.

WYSTAWA W ŁAZIENKACH

ŚLENDZIŃSKI, KWIATKOWSKI, HOPPEN, PL. LECKI, BORZOBHATA, KAMIŃSKA-TRZCIŃSKA, BURSZE, CINZERLING.

Krzywda, którą czyni „Zachęta” artystom, trwa w dalszym ciągu. Traci na niej również i „społeczeństwo”, któremu trzeba jeszcze wskazywać drogę do sztuki dobrej.

Gdy artyści muszą zamykać się w małych lokalach — sklepach, trudno „szerokiemu ogółowi” trafić do ich dzieł; podobnie do stojącej na uboczu za pałacem Łazienkowskim dawnej Podchorążówki wybierze się tylko ten, kto szuka sztuki, kto jest jej naprawdę ciekawy lub spragniony.

W pięknym zaciszu parku, — w przygodnej, zimnej i więcej niż skromnej sali mieszczą się obrazy i rzeźby, sztychy i szkice architektoniczne obecnej wystawy, która potrwa do 7 października.

O ile się orjentuję, przeważa tu szkoła Wileńska ze Ślendińskim na czele.

Oprócz kilku szkiców do plafonów, paru krajobrazów i aktów — część malarska wystawy daje wyłącznie portrety — w większości kobiece.

Nie bacząc na znaczne odrębności indywidualne obecnych tu malarzy — posiadają oni tak jednolity sposób ujęcia artystycznego, że narzuca się odczuwanie wspólnych im wszystkim założeń, punktów wyjścia i celów.

Mówiono już niejednokrotnie o charakterze włosko-renesansowym obrazów Ślendińskiego, o ich zwartości kompozycyjnej, umiarze i spokoju. Obecnie cechy te najwybitniej skoncentrował w kilku portretach Kwiatkowski. Są one przesycone wspomnieniami wczesnego odrodzenia, zarówno przez mocne zaakcentowanie rysunku, jak przez wyłączenie stosowania barw lokalnych. Ogromnie spokojne w ruchu i w spojrzeniu, czasem prawie nieruchome — są te damy i dziewczynki, mimo całej współczesności, mające w sobie jednak wiele z kobiet Ghirlandaja, Pollajuola i Piero di Cosimy, jest tu cała skala spojrzeń „stałych”, w których zamknięto zadumę, zapatrzenie, kontemplację, zdziwienie, przyglądanie się badawcze i tępa nieobecność (w portrecie sangwina).

Barwy lokalne noszą już w samym założeniu pierwiastek spokoju. Odpowiednie skomponowanie postaci, t. j. umieszczenie ich na płaszczyźnie obrazu takie, a nie inne, wplecenie w tło, — układ ciała, głowy, rąk — składają się na wrażenie prostoty i ciszy, jakie dają te obrazy.

W portrecie damy w pysznej czerwieni mamy zaczątek ruchu w rękach, trzymających teczkę; dziewczynka na sąsiednim obrazie podnosi w lewej ręce jabłko i zgina jedną z nóg; ten słabo zaznaczony dynamizm łagodzi dwie pionowe, pełne spokoju linie kijów, na których okręcają się winorośle, — ujmują one jakby ramą postać dziewczynki i tem wyraźniej odcinają ją od tła krajobrazu i skłębionych, ołowianych chmur.

Tło, które daje Kwiatkowski, jest bądź bardzo sumaryczne (skrawek okna, poza tem ciemna plama), bądź tylko zlekka naszkicowane z wybitnie dekoracyjnym zamysłem (jak np. wzgórze z złotem malowane).

Modelowanie rąk, nóg, szyi — całej postaci daje wrażenie mocnej, zwięzłej, jędrnej plastyki i konkretności. Artysta jak gdyby ześrodkowuje się na zamknięciu w linii i w wymodelowaniu obiektu, który ma przed sobą; nic tu nie wybiega poza ramy, nie ucieka, nie rozprasza się.

Znajdujemy się wobec całkowitego odwrótu od baroku i jego epigonów, od zgiełku jazz-bandu, kabaretu, amerykańizmu, zawrotne-

go ruchu i gry światła — do spokoju, wmyślenia się, wpatrzenia i kontemplacji. Łagodność i powaga. Można odpoczywać, patrząc na tę sztukę.

Może sztuka ta ukaże ludziom skarby ciszy i skupienia.

W czterech portretach kobiecych Hoppe na zarówno tło jak i koloryt są także utrzymane w charakterze włoskiego XV-wieczna. Widzimy to w portrecie pani na tle nieba, którego barwa przechodzi od mocnej do żółtawej zieleni; postać w zielono-niebieskiej sukni odcina się od zielono-brązowego drzewa, o gęsto zbitym listowiu (jakie malowali artyści XV w.).

Ruch rąk w portretach tych jest mocniej zaakcentowany niż u Kwiatkowskiego: trzymają one bądź paciorki, bądź kwiat, bądź medaljon, — portret pani, Wilnianki, jest skomponowany na tle kościoła Dominikanów, co stanowi jakby psychiczne dopełnienie postaci, nieco surowej, zatroskanej i w bliskiej zapewne styczności z kościołem żyjącej.

Pani w zielonej sukni, ujmująca czarną tiunikę rękoma, ma najwięcej ruchu w pochyleniu głowy i dobrze wymodelowanej postaci.

L. Ślodziński dał obrazów dużo i bardzo różnorodnych. W różnorodności tej przeważa dążenie do klasycznej, zwartej, zamkniętej formy.

W niektórych obrazach stwierdzamy bogactwo barw, — śmiałe zestawienia niebiesko-łilijowe z zielenią, czerwienią, bielą, — czarną — i jasno-żółtą barwą.

W porównaniu z poprzednio wymienionymi malarzami Ślodziński daje najwięcej dynamiki: spojrzenia jego modeli są żywe, płonące, pełne blasku (p. Tołwińska, p. Rydz-Smigły), życie ich rąk intensywniejsze, twarze mają wyraz jakiegoś mgnienia, chwili, wyraz, który może się zmienić.

Ciekawy jest portret zbiorowy, w barwach lokalnych utrzymany, w którym jedna postać znieruchomiała w wyraźnym en-face, jakby celowo kontrastuje z drugą lekko pochyloną, o żywym profilu.

W portrecie p. Nowakówny szarość srebrzysta i brąz (ciała) stanowią bardzo ciekawy dwugłos; srebro sukni kładzione jest grubo, niemal płasko-rzeźbowo.

Niezapomnianie piękne są cztery studia kompozycyjne o przepyszny rysunku i modelowaniu światło-cieniem. Jest wśród nich Montegnowska głowa staruszki i młodzieńca, uroczą postać o subtelnym uśmiechu i spuszczonej po Leonardowsku powiekach.

Portrety Piłsudskiego i generała X są utrzymane w stylu podobnych dzieł XVIII w. Lecz Ślodziński pozwala sobie na wplecenie do pompatycznego tła małych figurek ludzi, wojska ułanów na niby drewnianych konikach, — jakby igraszkę lub widzenie.

Oprócz portretów dał Ślodziński jeszcze studia z miast włoskich sangwiną, fragmenty plafonów (Lato, Aurora, Zima) — bardzo ciekawie skomponowane i dwa akty, jakby z bronzu wylane.

Trzy rzeźby Kamińskiej mówią o jej silnej i oryginalnej indywidualności i szerokiej skali możliwości (model figury szczytowej pomnika — i rzeźba z drzewa mocno archaizowana).

Wystawa jest bogata — pomimo niedużej liczby eksponatów.

Jest jednolita i ma wyraźną fizjognomję, przedstawia wyniki pracy, będącej nie tylko poszukiwaniem, ale i stwierdzeniem, że się coś znalazło. To coś występuje przed widzem jako kompozycja i opanowanie kształtu przez rysunek i modelowanie delikatnymi sciszeniami i wzmocnieniami barwy.

Prostota i jednolitość tej wystawy poza innymi jej cechami, sprawiają, że jest ona bardzo pouczająca i może dużo dać chcącym nauczyć się patrzeć na dzieła sztuki.

N. M. Sam.

Z KSIĄŻEK

Marja Jehanne hr. Wielopolska: „Femina”. Opowieść melodramatyczna. Poznań, 1924 r. Nakładem wydawnictwa „Przeglądu Porannego”.

Mamy nową książkę Marji hr. Wielopolskiej. Nazywa się „Femina”.

W rokokowej skrzynce klejnotów, jaką jest twórczość Wielopolskiej, ta opowieść melodramatyczna jest rubinem bardzo pięknego blasku.

Treścią książki jest epizod z czasów świętej Inkwizycji, a napisane to jest tak, jak zawsze pisze Wielopolska.

Wiadomo, że jedynym celem, jaki wogóle w sztuce istnieje, jest wywołać uczucie tak zwanej rozkoszy artystycznej. Doświadczając tego uczucia, człowiek, przez okrucieństwa najrozmaitszej rzeczywistości, podanej mu w dziełach sztuki, jak przez modlitwy, łączy się z tajemnicą bytu, zaznaje prawdziwego życia.

Droga, jaką się do tego dąży, jest określona przez niepowtarzalną indywidualność każdego artysty, stanowi jego styl. I nikt się z tej swojej indywidualności w sztuce swej nie wykląmie.

Pani Wielopolska więc, aby dotrzeć do ludzkiego serca i wyspiewać najprostszą pieśń jego boleści lub szczęścia, musi z rafinowaną radością włóczyć się po wszystkim, co roznamiętione serce ludzkie i rozogniony jego tętnem umysł, stworzyły jako dekorację i ornament życia, jako jego luksurję i ozdobę.

Tak jak ktoś inny potrzebuje opisów natury, nastrojów duszy, miłości, spraw społecznych i t. d., aby uprzytomnić sobie istotę życia, tak Wielopolska potrzebuje do tego nadotykać się, napaść gorące oczy, upić swą kobiecą wrażliwość obecnością szat, bławatów, precjozów, instrumentów muzycznych, sprzętów i ceremonij, jakie człowiek poprzez wieki gromadził i włókł za sobą w nieznaną przyszłość, lub w końcu nasycić się tak podobną do ornamentu djalektyką rozumowań, dowcipu i rozpraw, czerpaną z ksiąg mądrości różnych wieków.

Nawet jeśli pisze o współczesnej epoce, której częściowe oblicze potrafi świetnie wydobyc, to najchętniej załamuje ją przez kryształ starych szkielec, otacza przepychem antyków, lub bodaj osobliwości egzotycznych, mających patynę jeśli nie czasu, to przetrzeni.

Od tej zbyt kłopotliwej dekoracji (znaczonoj przytem bardzo dyskretnie), w której ukazują się nam losy człowieka — zabarwił się, zalsnił, zamigotał styl Wielopolskiej — nabierając swych odrębnych cech, o których jednak tu mówić w krótkiej recenzji nie miejsce. Dość zaznaczyć, że jego świetne właściwości stylizacyjne, czerpiące swe blaski z wzoru starożytnych klejnotów, nie znikają nawet w tak surowo tragicznym temacie, jak w mających za teatr ubogą, dziką puszcę przepięknych „Kryjakach”.

Pamiętam, jak mnie w czasie wczesnej młodości, gwałtownej, patetycznej i pełnej uczuć spartańskich, męczył ten ornamentacyjny i luksusowy charakter książek Wielopolskiej.

I jak kiedyś z uczuciem fizycznej niemal radości czytałam grube, miękkie, żółtawe stronic „Fauness”, obmyślając dla nich jednocześnie młodzieńca, surową w jakimś tygodniku reprimendę.

Dziś lepiej się już jakoś potrafi ocenić ludzkie oblicze w najbardziej przerafinowanym artyzmie.

Bo smakołyki stylu i dowcipu pani Wielopolskiej, niedość, że nas raczą — ale jeszcze dociera się przez nie w końcu zawsze do prostej pieśni cygana (taka „melodramatyczna” pieśń podwórzowa). Więc — cóż do życzenia. Poprzednie smakołyki mogą czasem wrażliwość na tę pieśń przytępić — lecz ona się rozlega, i kto ma mocną głowę na mieszane trunki drogiej marki, ten ją usłyszy.

Rozlega się też taka pieśń prosta i straszna o nieszczęściu i miłości z kart „Feminy”, a tytuł pieśni — Berenice.

W tym krótkim utworze niezwyklej erudycja Wielopolskiej narzuciła misterne tło kościoła — kazuistyki i okrucieństwa świętej Inkwizycji — oraz gorączkowych poszukiwań tamtoczesnego intelektu, a w tę osnowę, wplotła purpurowe opowiadanie o tem, jak sławny Paracelsus i młody uczonec Don Gregorjo otrzymują w darze trzy storturowane ofiary Inkwizycji, aby je żywcem rzezać dla celów naukowych, poznania organizmu ludzkiego.

I z tej przeokropnej treści wypływają dwa momenty rozzdzierającej piękności i niesamowitej głębi w odczuciu tego, co się właśnie nazywa „femina”.

Jeden, to kiedy nieprzytomna Berenice, łachman kobiety, leżący na łożu tortur, swem wiotkiem tchnieniem umierających, czerwonych ust nad szklanką wody — budzi w młodym Gomazie litość i rozpacz mocną, aż do miłości — i nic o tem nie wiedząc sprawia, że teraz w spisku jej dwóch towarzyszy niedoli, Gomaz będzie świadczył przeciw młodemu Gregorjo, aby ją uratować.

Drugi, gdy Berenice połamana, zgorączkowana, pocięta na kawałki przez tegoż Gregorja — ostakiem głosu świadczy za nim, iż męczył ją i innych nie gwoli herezji, ale dla celów nauki i pożytku świata.

I czyni to, ach czyni to, aby w nagłym przerażeniem olśnieniu i tkliwości oczu Gregorja dostrzec przyczynę ich blasku i zabrać ją w swe oczy umierające.

O Berenice — nie każdy pojmie cię w całości. Lecz nikt nie pojmie cię tak, jak znajdujące się tu i owdzie nieznanne kobiety, co też przeszły przez wielką, ciężką, niczem nieusprawiedliwioną miłość, co też chciały być zabijane przez tego, kogo kochały, pragnęły go ocalić. Berenice, ty po stokroć kobieto, słodka symbolu wiecznej dzieweczki, władającej jedną tylko potęgą — miłością! Zdolnej tą miłością zło uczynić, i zdolnej nią zło odkupić i zdolnej ją wnieść tak wysoko, że stanie się tem samem, co dobro, co prawda i bohaterstwo.

Taką cię przed nas przyniosła, z pomiedzy wyszukanych dysertacyj i pięknych rekwiżytów i tak w serca nam złożyła — okrytą tylko kocem nędzarzy — Marja Jehanne Wielopolska.

Marja Dąbrowska.



Z TEATRÓW.

TEATR im. BOGUSŁAWSKIEGO.

Operetka komiczna w 7-miu obrazach *Feliksa Schobera*. Muzyka *Ad. Sonnenfelda*. Układ sceniczny *L. S. Schillera*. Malowidła sceniczne według pomysłów *W. Drabika* i *A. Pronaszki*. Reżyserja zespołowa.

Ma się wrażenie, że przewraca się stare roczniki „Bluszu” — i że z pożółkłych kart patrzają nainwie rasowe twarze dam w tiur-niurach, w sukniach z falbankami, w mantylkach i pretensjonalnych budkach. — Ten cały, tak niedawny — a przecież tak bardzo odległy świat śmieje się ku nam ze sceny teatru im. Bogusławskiego, a wśród dygów i śpiewów snuje się pełna pogodnego humoru opowieść o tem, jak to pan Barnaba Fafuła — obywatel ziemski, ze swą czcigodną małżonką panią Kunegundą z Sekutnickich i voto Podbijalską, II voto Fafuliną wybrali się w podróż do Warszawy, by poszukać godnych i bogatych epouserów dla swych córeczek, Kizi i Koci.

Stary wodewil warszawski! Ma w sobie coś z zapachu naftaliny i lewandy — coś z oroku starej, wypłowiałej mantyli, którą babcia w dzień słoneczny każe wietrzyć na płocie, by jej mole do reszty nie zjadły.

Stara mantylka wdzięczy się do świata i ludzi, wiatr igrza w jej niezliczonych falbankach, a babcia w doskonałym humorze opowiada wnukom o tem — jak to się za dawnych dobrych czasów jeździło do Warszawy. I jak w maleńkim fragmencie wspomnień babci nie wskrześnie obraz epoki — tak samo nie znajdziemy go w naiwnym tekście operetki *Feliksa Schobera* — Ale i tu i tam znajdziemy charakter, ton, styl. To, co wydobywał z tych siedmiu obrazów układ sceniczny p. L. S. Schillera — jest dowodem tak niepospolitej pomysłowości i smaku artysty, że wystawienie tej nic nie znaczącej sztuki staje się dużym sukcesem scenicznym w bieżącym roku teatralnym.

Świetne dekoracje pana *Drabika* i *Pronaszki*, — doskonała reżyserja sztuki sprawiły, że ani jedna z możliwości artystycznych którą nasuwał ubożuchny tekst nie tylko nie została pominięta, — ale przeciwnie, umiejętnie podchwyciona i podkreślona, zajaśniała doskonałym spokojnym humorem i łagodnym uśmiechem, który możemy znaleźć chyba tylko w karykaturach *Kostrzewskiego* i u *Prusa*.

Teatr im. Bogusławskiego jest teatrem robotniczym. Jaka szkoda — że właśnie tych, dla których scena ta została powołana do życia, nie spotykamy na widowni. Dlaczego galerja jest pusta? Dlaczego w krzesłach nie widzimy robotników — teatr roi się od inteligencji pracującej, urzędnicy z ministerstw, profesorowie z politechniki i uniwersytetu, docenci, nauczycielstwo — oto publiczność, która zaludnia teatr Bogusławskiego. Trzeba podjąć odpowiednią propagandę — podać do szerokiej wiadomości, rozreklamować. Ceny biletów tak niskie, że z powodzeniem konkurują z cenami kinematografów — mogąściągnąć liczne rzesze widzów, liczących się z groszem.

A może właśnie dla tego tak licznie zalega widownię teatru inteligencja pracująca? Może!

p-a.

Z ŻYCIA STOWARZYSZEŃ KOBIECYCH

ZJAZD ZIEMIANEK WE LWOWIE.

W dniach 10, 11 i 12 Września odbył się we Lwowie Zjazd Ziemianek z całej niemal Rzeczypospolitej.

Zjazd był zebraniem Rady Naczelnej Ziemianek, która łączy organizacje kobiece, pracujące nad podniesieniem gospodarstw i ogólnej kultury wsi polskiej.

Obrazy w sali Tow. Kredytowego, wypełnionej po brzegi, zagaiła przew. Związku Ziemianek Małopolski Wschodniej, p. Wanda Drużbacka, witając Radę i zdając przed nią sprawę z działalności Związku. — W imieniu Rady odpowiedziała jej przewodnicząca pani *Marja Janowa Kleniewska*, — poczem o stonkach oświatowych i narodowościowych na Rusi referował p. *Adam Grażewski*.

P. *Grzybowska* przew. Stowarzyszenia Zjednoczonych Ziemianek w Warszawie i generalna sekretarka Rady, zdała sprawę z jej tworzenia się i organizacji, zaznajamiając obecnych z podziałem prac Rady na cztery Komisje: Gospodarczą, — Społeczno-oświatową, której program dyr. *Stemler* przedstawił w swoim referacie, — zagraniczną i organizacyjną. — P. *Dernałowiczówna* scharakteryzowała organizację i pracę Koła Młodych Ziemianek w Warszawie, zachęcając do utworzenia takiegoż Koła w Małopolsce. Po przerwie obiadowej p. *Chłapowska*, delegatka Wielkopolski wygłosiła programowy referat gospodarczy, uzupełniony koreferatem p. *Morzkowskiej* z Warszawy, poczem p. *Jankowska*, stojąca na czele Komisji Zagranicznej, w starannie opracowanym zestawieniu dała obraz prac ziemianek w różnych krajach. P. *Jankowska* kładzie nacisk na fakt, że wszędzie inteligencja wsi, jak z natury rzeczy jest ziemiaństwo większej własności, przoduje w ruchu rozwojowym, w którym pierwszymi były Kanada, Belgja i Polska, co jej przyznano na międzynarodowym Kongresie: „Des cercles de Fermiers” w Gandawie w roku 1910. Odtąd w różnych krajach powstają podobne organizacje, a już w czasie wojny zawiązana w Anglii w szybkim tempie ogarnęła kraj i dochodzi do miliona członków.

Wszystkie referaty wywołały żywe dyskusje, których wynikiem były następujące uchwały:

1. Zjazd Ziemianek całej Rzeczypospolitej Polskiej, odbyty w dniu 11 września we Lwowie, uważając, że podniesienie gospodarstwa kobiecego jest zarazem podniesieniem ekonomicznym kraju, wzywa wszystkie ziemianki do jak najintensywniejszej pracy, opartej na ścisłej rachunkowości; do zdobywania wiedzy gospodarczej i wyszkolenia zawodowego, do tworzenia spółek i kooperatyw przemysłowo-handlowych.

2. Zjazd wskazuje wszystkim Ziemiankom i kobietom, kraj miłującym, że obowiązkiem ich jest wychowanie i wyrobienie obywateli uświadomionych co do odpowiedzialności każdego obywatela za całość i potęgę Państwa.

3. Zjazd uznaje obowiązkową społeczną służbę kobiet od lat 18-tu i wzywa wszystkie Ziemianki, by ją spełniły czynnym udziałem w stowarzyszeniach chrześcijańskich i narodowych.

4. Idąc za przykładem zagranicy, a w szczególności Francji i Belgji w organizowaniu kobiet na ziemi osiadłych, Zjazd uznaje wspólność interesów mniejszej i większej własności ziemskiej, oraz konieczność wymiany usług tak duchowych jak materialnych.

5. Zjazd protestuje przeciw niesprawiedliwemu werdyktowi ławy przysięgłych w procesie o wypadki listopadowe w Krakowie, — werdyktowi, który naruszając boleśnie uczucia słuszności i bezpartyjności, uniemożliwił prawu odniesienie triumfu nad zbrodnią.

Trzeciego dnia rano Rada zebrała się dla przedyskutowania sposobu wykonania

uchwał i wniosków członków Rady i Zgromadzenia Walnego.

Równocześnie grono chętnych obradowało nad celami Koła młodych, jako praktyki przygotowawczej do pracy społecznej, obowiązującej Ziemianki. Zachęczone przykładem byłej Kongresówki, zawiązało się Koło Młodych Ziemianek Małopolskich.

Po skończonych naradach udano się do szkoły gospodarczej w Snopkowie, gdzie przygotowany i podany przez uczenie obiad, w jasnym, wesołym, przybranym kwiatami pokoju stał się prawdziwą uczta gwarną i miłą, świadcząc o doskonałym zorganizowaniu szkoły.

ostatni dzień Zjazdu, dla gości z dalszych stron uprzejmie zaproszonych przez ks. *Lubomirską*, był poświęcony zwiedzaniu ogrodów i gospodarstwa kobiecego w Przeworsku.

Zwiedzano dalej dużą fabrykę serów, wyrabiającą różne gatunki; oraz wzorowo prowadzoną chlewnię wielkiej, białej rasy angielskiej. Dalej kurniki z tysiąc paruset sztukami drobiu, kilkunastu sztucznymi wylęgarniami, tuczarnią drobiu, wysyłającą po paręset sztuk głównie do Zakopanego, — z urządzeniami najnowszymi bez zbytku, — królikarnię, na sposób francuski prowadzoną na skórki szaro-niebieskiego futerka.

Wszystko to prowadzone przez specjalistów, ale wolą i energją właścicieli jest żywą ilustracją, jak Polska zagospodarowana być może i powinna — a było dla Ziemianek zachęcającem do pracy i pouczającym zakończeniem miłego i pożytecznego Zjazdu.

Ziemiańska.

Ze wspomnień instruktorki oświatowej w woj. Pomorskiem

JAK PRACOWAŁ UNIWERSYTET im. TADEUSZA KOŚCIUSZKI NA POMORZU.

Rok temu przyjechała niżej podpisana na Pomorze, aby prowadzić tam typ pracy, który nazwała kiedyś przed laty „Uniwersytem im. Kościuszki”*)

Nazwa wspaniała, a co się pod nią kryje? Oto kursy lotne wychowania społecznego i obywatelskiego. Przez ten rok takie kursy prowadziłam w małym, bardzo licznie przez ludność niemiecką zamieszkałym powiecie, leżącym na Pomorzu na pograniczu Wielkopolski i Niemiec. Finansował tę pracę Sejmik, ale ponieważ powiat jest mały (zaledwie 28 tys. liczy) więc o fundusze większe na instruktorkę oświatową było trudno i dlatego miałam tam pensję zaledwie 12 klasy.

Złam albo w wagonie, albo na bryczce, a gdy nastały czasy pogody letniej, zaczęłam uprawiać turystykę pieszą i nieraz zdarzyło mi się robić po 18, a nawet 24 kilometrów, dużo pracując równocześnie nie tylko nogami ale i głową.

Tematy moich pogadanek były następujące:

- 1) Nauka obywatelska;
- 2) Wiedza o Polsce współczesnej;
- 3) Historia oświaty w Polsce i zagranicą w XIX w.
- 4) Co to jest kooperacja?
- 5) Charakterystyki wielkich obywateli w Polsce;
- 6) Najmłodszy społecznicy u nas i zagranicą;
- 7) Historia Związków Młodzieży w Polsce i zagranicą;

*) Patrz str. 29 rozdział „Lotny Uniwersytet im. Tadeusza Kościuszki” w IV tomie podręcznika dla pracowników społecznych *Stefanii Bojarskiej*, tytuł książki: „Nasz Doro-bek kulturalny” podtytuł: „Polska Odradzająca się”. Wyd. Księgarni Kroniki Rodzinnej. Warszawa, Podwałe № 4 r. 1922.

8) Wykłady rocznicowe.

Pracowałam w pow. Sepolińskim, urządzając zebrania po szkołach i lokalach różnych towarzystw dla starszych, młodzieży i dzieci.

Plan pracy w ciągu ubiegłego roku w cyfrach przedstawia się następująco:

360 wykładów, wygłoszonych w powiecie sepoleńskim; 42 wykłady wygłoszone w pow. sąsiednich, w czasie moich dni odpoczynkowych, których miałam na miesiąc tyle, ile było dni świątecznych w miesiącu, a więc 4 do 7.

Rezultat tej ostatniej pracy dał bardzo korzystny wynik, bo gdy po roku zlikwidowano w powiecie sepolińskim posadę instruktorki oświatowej, na nową posadę nie potrzebowałam długo czekać, ponieważ dwa sąsiednie powiaty, znając już moją pracę z gościnnych występów na ich terenie, przyjęły mnie na swoje utrzymanie i umożliwiły dalszy pobyt na ziemi pomorskiej.

Powiat, w którym w ciągu roku przemawiałam 360 razy jest dzisiaj pod względem ideowym już trochę innym. Znać pewien postęp w życiu wewnętrznym stowarzyszeń, a i nowych stowarzyszeń przybyło także sporo. Zapewne „cudów“ nie dokonałam, ale w każdym razie, nie mogę powiedzieć, żebym nie zrobiła wszystkiego, co leży w sferze możliwości. To też, gdy posada moja została zlikwidowana dla braku funduszów, a ja odzyskałam wolność, z radością „sztubaka“ korzystałam z całomiesięcznego odpoczynku, który mi wypadło przeżyć w dobrych warunkach, bo w gościnnych domach mieszczkańskich na Pomorzu, w Wielkopolsce i na wycieczce do Kaszubskiej Szwajcarii.

Ale ponieważ przekonałam się, że trudno by mi było na tych samych warunkach i w ten sam sposób pracować, jak to czyniłam w roku, z którego opis przysyłam do „Bluszczu“ więc umówiłam się, że tym dwóm powiatom, w których od 1 października b. r. zaczynam pracę podobną, daję po 10 dni pracy w miesiącu, a sobie wyznaczam też 10 dni na miesiąc na odpoczynek — na pracę publicystyczną i na wyjazdy gościnne do innych powiatów. Będzie to korzystniej i dla mego umysłu i dla mojej kieszeni. Bo muszę przyznać, że jeśli ja działałam w odpowiednim kierunku w sposób wychowawczy na mieszkańców Pomorza, to i oni wywierali na mnie swój wpływ także. A ponieważ są to ludzie twardzi, bardzo praktyczni, oszczędni, zapobiegliwi, więc w zetknięciu z nimi i ja przyjąłam sporo z tych cnót, w codziennym życiu tak ważnych i cennych i stałam się praktyczną i oszczędną, — a że dobre jak i złe nałogi stają się drugą naturą, więc i ja pamiętać będę Pomorzanom, ten kurs praktycznego wychowania, jaki u nich przeszłam w tym czasie, gdy ich zaznajamiałam z kulturą polską i ideologią narodową, od której wpływów w czasie niewoli u Niemców byli odsunięci.

Przy tej wspólnej, wyteżonej pracy, prawie, że mnie nie spotykały zarzuty, zwykle spotykające ludzi z innych dzielnic. — Może to pochodziło stąd, że dzięki wprawie w prowadzeniu pracy o różnych poziomach i w środowiskach różnych, umiem się szybko przystosowywać do warunków miejscowych i przedko nabieram swobody ruchów, tak, że zewnętrznie nie wyglądam na osobę, którąby coś raziło, czy w ich towarzyskiej kulturze, czy to w urządzeniu domów i t. p. Miewałam tam jednak zdarzenia nieprawdopodobne. Bywałam stawiana w sytuacjach trudnych i bardzo raniących nieraz moją miłość własną. Ale bo zachciało mi się ten pierwszy powiat na Pomorzu badać w całej rozciągłości. Musiałam więc ponosić konsekwentnie następstwa, z takiego postanowienia wypływające. Miało to jednak tę dobrą stronę, że nikt nie krępował się moją obecnością, nie wchodził na koturny, ale z całą dobroduszością pokazywał mi swoją jaźń, podszewką do góry i pozwalał zaglądać do swego wnętrza. Nieraz jednak, trzeba było mocno się trzymać w cuglach, żeby nie wybuchnąć. Na szczęście bardzo zdrowy, prosty, niewymyślny tryb życia i cudna przyroda, koily skutecznie buntury nerwów.

Przetrwiałam zwycięsko ten eksperyment i z uczuciem zadowolenia patrzę teraz na pracę, już dokonaną. Widzę przed sobą już na tym samym terenie drogę gładszą, nie najeżoną takimi przeszkodami, jakie były do zwalczania na poprzedniej posadzie.

Stefanija Bojarska

Instruktorka oświatowa pow. Chojnickiego i Tucholskiego w województwie pomorskim.

LIST Z PARYŻA

Paryż. Wrzesień. — Po letniej wilegaturze zaczynają Paryżanie ze wszech stron ścigać do stolicy, — Deauville, Biarritz, Ostenda powoli wyludniają się i cichną po gorączkowym ruchu letniego sezonu, a punkt ciężkości życia przenosi się znowu na Paryż.

Czyż można wyobrazić sobie coś bardziej pociągającego, jak Paryż tej jesieni. — Po dżdżystem, bezbarwnym lecie, oko z rozkoszą spoczywa na każdym kroku na bogato przybranych trawnikach. Zwłaszcza chryzantemy przeróżnych barw i odmian, od najprostszych do najbardziej egzotycznych, od kremowych do ognistych poprzez wszystkie rdzawe odcienie — to prawdziwy symbol jesiennego Paryża. — Aleje, opalone od skwaru, trawy i trawniki nadają stolicy specyficzny koloryt zachodzącego słońca.

Natychmiast po przyjeździe zaczynają się panie rozbiegając w swoich garderobianych zapasach.

W blasku jesiennego światła, jakże nikłe i nieodmne wydają się nasze wiosenne sukienki; tylko nieliczne eleganki pomyślały już podczas letnich wyczasów o tuletach na „demi-saison“. — To też niezwłocznie wybucha gorączkowe podniecenie, znamionujące początek sezonu. — Najbardziej wtajemniczone w zakulisowe sprawy tuletowe eleganki odwiedzają pierwszorzędne „maisons de couture“; inne kupują żurnale, chodzą do magazynów, kombinują, obliczają...

A wybór jest wielki: rysownicy i krawcy nie próżnowali w ciągu wakacyjnych miesięcy i obdarowują nas szeregiem nowych kreacji. — Dla oczu profanów, ogólna linja sylwetki prostej i krótkiej, nie uległa zmianie, lecz wprawne oko eleganki spostrzeże małe warjanty, które decydują o oryginalności i odrębności modelu. Moda powraca stanowczo do „klosza“, który zarysowywał się już przeszłej zimy, został poniekąd latem, a teraz odzyskuje swoje walory w zastosowaniu do ciężkich i bogatych, zimowych materij. — Kloszowa forma będzie się zaznaczać poniżej kolan, łagodząc nieco surowość linji prostej i długich, obcisłych rękawów. Taką linję mają wszystkie modele L. Lelong'a, odznaczające się jak wiadomo, niezrównanym wyrefinowaniem.

Naogół widzi się, jak dotąd, sylwetki wąskie w biodrach, ale uderza jako wielka nowość sezonu, szeroki zarys ramion. W tym celu stosuje „Cyber“, nowa wielka firma z placu Opéry, przybrania w formie V; poza tem lansuje on kontrafałdy dośrodkowe, zastębowane do kolan, a rozchodzące się poniżej kolan, by umożliwić swobodę ruchów. Taki fason daje swobodę ruchów przy wąskiej sylwetce.

Premet nadal pokazuje prześliczne sukienki, zapięte od góry do dołu na drobne guziczki i małe kołnierzyki, zawsze jednakowo świeże i miłe dla oka.

Madeleine Vionnet pozostaje przy dłuższej sukni o bardzo wyszukanym kroju; klosz tworzy się nisko na przodzie sukni, przyczem fałdy materji zgrupowane są z przodu.

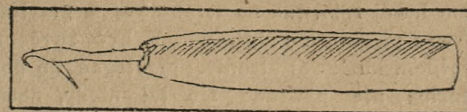
Palto, rzecz godna uwagi, jest prawie zawsze dostosowane do sukni. Widocznie królowa Moda orzekła kategorycznie, że całość „trois piéces“ jest niezbędną częścią garderoby współczesnej kobiety.

Palto dostosowane do każdej sukni! Co „za zbytek“ — powiecie, Szanowne Panie. Lecz czyż Was wszystkich nie pociąga z magiczną siłą to właśnie, co jest najpiękniejsze, najnowsze i... najkosztowniejsze.

„Ségué.“

WSKAZÓWKI PRAKTYCZNE

LAPANIE OCZEK W POŃCZOCHACH.

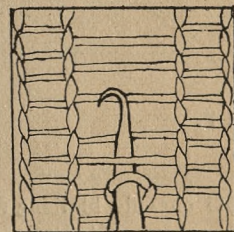


Rys. A.

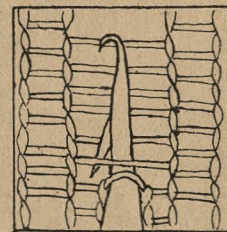
Tragizm spuszczonej oczki w cienkich jedwabnych lub fil d'éco-sse'owych pończochach! Ileż popsutych spacerów, wieczorków, ba, ileż leż wylanych! Oddawanie pończoch do naprawy kosztuje nieraz tyle, ile kosztowała sama pończocha, a zresztą na nic się nie przydaje w „nagłych“ wypadkach; zeszywanie pończoch szpeci je i przeważnie powoduje jeszcze większe dziury; wreszcie naprawianie zwykłym szydełkiem jest bardzo mizolne.

Od niedawna weszły w użycie specjalne szydełka, na wzór tych, któremi się posługują fabryki pończoch (rys. A.). Są one znane w Niemczech pod nazwą „Clapa-Nadel“; dostać je można we Francji i w Niemczech w wielkich bazarach i w sklepach z robotkami ręcznymi i t. p. W Warszawie, o ile nam wiadomo, nie posiada ich na składzie żaden sklep, ale można się o nie wystarać w fabryce pończoch.

Administracja „Bluszczu“ sprowadzi transport tych igieł z Paryża, — by ułatwić ich nabywanie naszym czytelnikom.

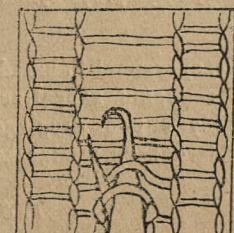


Rys. B.

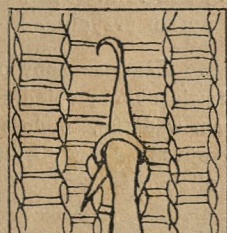


Rys. C.

Sposób użycia jest następujący: Wsuwa się haczyk w ostatnie, niespuszczone oczko i pod sąsiednią poprzeczną nitkę (rys. B.); posuwa się igłę, póki oczko nie spadnie z ruchomego pręcika, ale pozostawia się poprzeczną nitkę (rys. C.); cofa się igłę, przyczem oczko automatycznie przyciska pręcik do haczyka, wiążąc w pośrodku poprzeczną nitkę; oczko dosięga końca pręcika, spada z haczyka i z poprzecznej nitki powstaje nowe oczko (rys. D.). Oczkiem tem popychamy pręcik póki się całkowicie nie otworzy, powracając do pierwotnego położenia (rys. E.). Wtedy



Rys. D.



Rys. E.

cofamy wysuniętą igłę, by nabrać nową poprzeczną nitkę. Czynność ta jest tylko pozornie skomplikowana, wykonywa się ją przy pewnej wprawie z błyskawiczną szybkością, niemal tak prędko, jak zwykle cerowanie. Przez cały czas trzeba trzymać spruty kawałek pończochy między drugim, a trzecim palcem lewej ręki, jak na tamburku, a przytrzymywać pierwszym; igła winna być zwrócona profilem ku lewej stronie, przylegać do pończochy; nie powinno się jej nigdy, nawet w chwili formowania nowego oczka, unosić w górę. Po złapaniu ostatniego oczka przyczepia się je do oczka z przeciwnej strony lub, w razie nadwątlonej tkaniny albo zerwania poprzecznych nitek, lekko się je przyce rowuje. Jeśli spadło parę szeregów oczek, łapie się je z kolei od prawej do lewej strony; każde ostatnie oczko natychmiast się przytrzymuje, by znowu nie spadło. Doświadczenie zresztą najlepiej uczy, jak postępować w „skomplikowanych” wypadkach.

F. S.

PATKI DO PRZYTRZYMANIA RAMIĄCZEK.



Rys. F.

Większość pań nosi obecnie bieliznę na wąskich wstążeczkach, często różnokolorowych. Wobec mody sukien bez rękawów lub z krótkimi rękawami ramiączka nieraz w nieestetyczny sposób wysuwają się z pod sukni i jest się zmuszoną co chwila podciągać je w czasie tańca lub rozmowy. Chcąc tego uniknąć, przyszywają panie ramiączka za każdym razem paroma ściegami do sukni lub przypinają agrawkami, tracąc niepotrzebnie czas, dziurawiąc ramiączka i nie osiągając przeważnie celu, bo agrawki lub ściegi są zwykle widoczne. A jednak można zaradzić tym niedogodnościom, sporządzając z materiału sukni lub tegoż koloru wstążki wążutką patkę, idącą w poprzek ramienia sukni (najlepiej wzdłuż szwu ramieniowego); przyszywa się ją od strony szyi, a od strony ramienia przypina na mały zatrzask. Patkę tę wsuwa się pod ramiączka bielizny, by je przytrzymać, a potem przypina.

Zamieszczony powyżej rysunek F. przedstawia suknię o jednym ramieniu zaopatrzonem w patkę, podczas gdy z pod drugiego wysuwają się w obydwu kierunkach ramiączka bielizny.

F. S.

SARNINA.

(rogacz, kozieł)

Chociaż się bije tylko samce, (rogacze, kozły) zwierzyna ta nazywa się jednak sarniną. Natychmiast po zabiciu należy wnętrzności wszystkie starannie wyjąć, skóry nie zdejmując, — zwykle na większych polowaniach służba leśna sama to robi, wnętrzności te dając zaraz po zabiciu zwierz, psom na odprawę. Całe wnętrze się napełnia drobno porąbanymi łapkami (gałązkami) choiny, poczem się całą sztukę wiesza za tylne nogi na lodowni, lub w piwnicy. O ile nie jest ciepło i nie ma much, może rogacz tak wisieć do trzech tygodni. O ile jest jeszcze ciepło, a co zatem idzie są muchy, lepiej jest po dniach kilku zdjąć skórę, mięso porąbać na części, ułożyć w skrzynię blaszaną, lub szczelną beczkę drewnianą, obie szczelnie zamykające się i zakopać w lód. Rogacza się dzieli w sposób następujący: naprzód odejmuje się obie łopatki, odrąbuje żeberka i wyrąbuje comber, najdelikatniejszą i najbardziej elegancką do podania część zwierzyny, używa się nań całą kotletarkę, zaczynając od karku i całą część grzbietową aż do ogona, potem się oddziela dwie zadnie pieczenie. Pieczenie są równie smaczne i delikatne jak comber, — obie więc pieczenie i comber idą na pieczone. Z łopatek się robi bardzo smaczną potrawkę duszoną, („ragout”) żeberka, kark, ochłapy po bokach combra, używają się na pasztet. Przed użyciem na dwa — trzy dni marynuje się sarninę. Dwa litry niezbyt mocnego octu zagotować z dwiema cebulami, listkiem, paru ziarnami pieprzu, ziela, goździków, gałązką majeranku. Ostudzonym zalać dobrze wyżyłowaną pieczeń lub comber, — przed użyciem wycisnąć z octu, naszpikować i piec, polewając z początku masłem lub szmalcem, a potem sosem, który pieczeń z siebie puści.

Piekąc dalej, zamiast wody lub rosołu, można używać octu z marynaty, zwierzyna przez to będzie miała smak ostrzejszy. Na dopieczeniu sos się zaprawia nieco mąką, i potem kwaśną śmietaną, — sos ten, przece dzony i nieco opieprzony podaje się częścią w sosjerce, częścią się polewa pokrajane i ułożone na kości mięso. Pieczeń się pokraja w taki sposób, aby wyglądała cała, koniec kości owija się mankietem z białego fryzowanego papieru.

Comber albo się rąbie cały wraz z kośćmi, (jak zająca) lub też, co jest bardziej eleganckie, zdejmuje ostrym nożem z obu stron połędwice, kraje ukośnie na cienkie plastry, układa napowrót na kości i tak cały podaje na długim, rybnym półmisku.

Zamiast marynowania w occie można sarninę zalać mlekiem zbieranem, kwaśnem lub nawet słodkiem, (mleko słodkie po kilkunastu godzinach też skwaśnieje). Sarnina tak marynowana jest po upieczeniu znacznie białsza od marynowanej w occie, należy ją jednak bardzo dobrze wycisnąć z mleka i obmyć w paru wodach, aby nie pozostał zapach serwatki. Dalej się szpikuje i piecze zupełnie w taki sam sposób, jak pierwszą, do sosu; aby go zaostrić, należy wlać parę łyżek octu i włożyć parę kostek buljonowych, albo łyżeczkę „Maggi”. — Łopatki na potrawkę można też zamarynować bądź w occie z korzeniami, bądź w kwaśnem mleku. Dusi się je najlepiej

ze słoniny, poczem sos zaprawia ściśle tak samo, jak do pieczenia.

Cała różnica między temi dwoma daniami polega głównie na tem, że łopatki nie dadzą się ładnie pokrajać i należy je wobec tego porąbać bądź przed, bądź po uduszeniu. Sos do potrawki robi się tu obfitszy, niż do pieczenia, potrawkę taką okłada się naokoło grzanekami, smażonemi w maśle lub ciastkami francuskimi, albo w środek półmiska kładzie ryż, gotowany na sypko, lub buraczki duszone.

Na pasztet się sarniny nietylko nie marynuje, lecz nawet nie moczy, gdyż w taki sposób zachowuje się cały aromat leśny zwierzyny.

Żeberka porąbane, kark i ochłapy od pieczenia dusi się w rondlu, biorąc połowę tej ilości cebuli i czwartą część wędzonego boczku wieprzowego lub wędzonej słoniny, dodaje się pieprzu, listka, ziela, goździków i majeranku. Gdy mięso od kości odstanie, ostudza się całą masę, poczem po odrzuceniu kości przepuszcza się raz przez maszynkę. Na kilo masy bierze się funt bułki, moczy w mleku, poczem masę wraz z bułką przepuszcza powtórnie przez maszynkę, wbija w nią 5-6 jaj całych, dodaje soli, pieprzu do smaku, skórki cytrynowej i gałki muszkatołowej dla zapachu, kieliszek madery lub węgierskiego, jeśli jest, masę się jak najdokładniej wyrabia.

Piec można ten pasztet w kruchem cieście, jeśli ma być podany na gorąco, podaje się wtedy do niego sos rumiany, cytrynowy lub kaparowy. Chcąc go używać na zimno, formę smaruje się masłem, wysypuje tartą bułeczką, wykłada cienko pokrajane w plastry słoninę, nakłada farsz ze zwierzyny i piecze dobrą godzinę w piecu lub pod blachą. Po wyjęciu podawać dopiero po 24 godzinach z sosem provençal lub musztardowym. Daje się przechować ze dwa tygodnie.

Pani Elżbieta.

ODPOWIEDZI.

Pani Zofja Tomiakowa w Krotoszynie. Na pytanie Pani o sposobach przechowania grubej zwierzyny (rogacza, sarny i t. p.) nie mogę odpowiedzieć w liście, temat bowiem zbyt obszerny. Ponieważ jesienią, w porze polowań, jest on bardzo aktualny i może za interesować szerokie koła Czytelniczek, piszę o tem jednocześnie obszerniejszy artykuł.

O konfiturach z pigw nie pisałam, gdyż owoc ten jest u nas bardzo rzadko spotykany, konfitury z nich są dobre, smaży się je, jak konfitury z jabłek. Wyborna jest i prześliczna w kolorze (jaskrawo-ponsowa) galaretka z pigw, o której kiedyś, pisząc o galaretach, zapewne przyszłego lata, będę obszerniej mówiła.

Pani D-rowsa Marja Korsunowa. Tamka. Nestety, przechowanie pomidorów w taki sposób, aby z nich się dało zrobić sałatkę, nie jest mi znany, — pomidory konserwowane w posolonej wodzie zachowują kształt i kolor lecz tracą zupełnie smak i aromat, kiszone po ukraińsku tylko na barszcze i zupy się nadają, — nawet najlepsze konserwy amerykańskie z całych pomidorów nie dają się pokrajać w plastry, gdyż są za miękkie.

E. K.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 40

522. Paltocik dla dziewczynki od lat 9 do 12 z wełny w kratę. Kołnierzyk futrzany.

523. Paltocik dla chłopczyka od lat 4 do 7 z pluszu ciemno-brązowego, przybrany białym futerkiem.

524. Suknia z wełny prążkowanej z odciętą falbaną, zapinana z boku. Kołnierzyk ze szkockiej materji.

525. Suknia z ciemno-brązowego crepe marocain, przybrana futrem.

526. Palto z granatowej wełny, haftowane czarnym.

527. Kostjum z piaskowego sukna. Kołnierzyk, mankiety i kieszenie przybrane tym samym materiałem, układanym w drobne fałdki.

528. Suknia z czarnej tafty, z dwoma falbanami, wykończona grubym białym sznurkiem, przydzierganym czarnym jedwabiem.

529. Spódnica z wełny w kratę, przybrana fantazyjnymi guzikami.

530. Spódnica sukienka. Guziki rogowe.

531. Sukienka dla dziewczynki od lat 7 do 10 z wełny granatowej, przybrana wełną w kratę.

532. Palto z popielatej wełny, przybrane plisami z tego samego materiału i rogowymi guzikami.

533. Palto granatowe, wyszyte wążutką, czarną tasiemeczką.

534. Paltocik dla dziewczynki od lat 6 do 9 z wełny granatowej, przybrany taśmą.

535. Suknia na ulicę z fioletowego sukienka. Pasek lakierowany.

536. Suknia z crepe marocain koloru orzechowego. Przód bogato wyszywany kolorami. Na spodnicy drobne guziczki.

537. Kostjum z granatowej gabardiny. Guziki rogowe.

538. Spódnica z lekkiego sukienka z fałdami z boku. Wyszycie z czarnego jedwabiu.

539. Gładka spódnica, zapinana z przodu, haftowana na jednym boku.

540. Wzór na poduszkę, aplikacja na szarem płótnie. Wielkość naturalna 51x38 cm.

Jeśli było bardzo silne ropienie oczu i z powodu tego cierpienia rzęsy wypadły, niema możliwości przywrócenia porostu rzęs w okolicy koło nosa, gdzie parę włosów brakuje. Za granicą jakoby wszywają rzęsy, ale u nas nie praktykujemy tych niebezpiecznych dla oka zabiegów i na szczęście mało jest wogóle amateerek, któreby się chciały poddać takim ryzykownym operacjom. Co się zaś tyczy żyłaków, powstałych u Sz. Pani na nodze, z powodu nieumiejętnego masażu, jak pani twierdzi, leczenie ich nie wchodzi w zakres mojej specjalności i jedynie interwencja chirurga może pani dać pomoc i radę właściwą.

Pani R. Równa. Bank dla Handlu i Przemysłu. Jeśli Sz. Pani używała proszków, tak zwanych „Depilatoirów“ na wyniszczenie włosów na brodzie, nie dziwnego, że było to bezskuteczne, działają one paljąco i po paru dniach włos na nowo odrasta nawet grubszy, tem samem bardziej widoczny.

Mylnie objaśniono Sz. Panią, że posiadamy płyn niszczący uwłosienie, nigdy go nie stosowałam w mej praktyce, gdyż jestem zdania, że jedynie „Elektroliza“, czyli wypalanie włosów zapomocą elektryczności, zniszczy doszczętnie i bezpowrotnie włosy.

Sądzę, że znajdzie Sz. Pani lekarza w Równem, któryby pani zastosował elektrolizę.

Dr. Jadwiga Sadowska.

Porady kosmetyczne.

Porucja L. K. Smarować co drugi dzień. Przesaną wypadać. Angielski „Bisare“ od łupieżu jest radykalnym środkiem. Myć trzeba głowę co tydzień przynajmniej, lepiej mydłem płynnym jak Pinol, Bay-Rum. Dostanie pan w większych zakład. kosmetycznych.

Zofji L. Nie znamy lepszego środka jak płyn Petunja d-ra Leroux. Zwłaszcza przy cerze tłustej, piegi znikną. Przy cerze suchej, łuszczącej się lepiej używać krem „Petunja“, oryg. francuski.

M. K. w Poz. Niech Pani do mycia twarzy nie używa zwykł. mydła toalet. Chyba jakieś gatunki wyborowe. Przy cerze suchej lepiej do mycia brać „Otrąbki migdałowe dr. Tasso“ zwłaszcza świeże.

270

Dr. Roemer.

OD REDAKCJI

W drukowanym w № 39 „Bluszczu“ utworze poetyckim p. t. „Batikowa Ballada“ zaszyły następujące omyłki:

Część III.

Strofa 2, wiersz 3. Po słowie „robił“ następuje słowo „wstecz.“

Strofa 3, wiersz 3. Winno być „wstaje“ zamiast „wstają.“

Część IV.

Strofa 2, wiersz 1. Winno być „Nawiasy“ zamiast „nawiały.“

Strofa 2, wiersz 5. Winno być „chłodzonych“ zamiast „chłodnych.“

Część V.

Strofa 2, wiersz 1. Winno być „światu“ zamiast „święta.“

Strofa 3, wiersz 1. Winno być „włócznie“ zamiast „włócznie.“

Strofa 3, wiersz 2. Winno być „w“ małe zamiast „W“ dużego.

Strofa 5, wiersz 1. Winno być „wodzowie“ zamiast „wrogowie.“

Strofa 5, wiersz 6 i 7 należą do następnej strofy, w której stanowią początek.

Strofa 6 zaczyna się od słów „Niech szwagrowie moi... etc.“

Strofa 7, wiersz 1. Winno być „ramy“ zamiast „plamy.“

Z dziedziny kosmetyki lecniczej.

Odpowiedzi.

„Smutne lato.“ Dziękując uprzejmie Szanownej Pani za wyrazy zaufania i jakimi się Pani do mnie odnosi, muszę, niestety, odpowiedzieć nie tak zadawalniająco, jak bym pragnęła.

„MAISON PHÉNIX“

w Warszawie, ul. Niecała 12 m. 19.

SPRZEDAŻ

ZAGRANICZNYCH ŻURNALI, FORM
PAPIEROWYCH, MANEKINÓW
oraz NAUKA KROJU.

Egz. od 1870 r.

265

SZKOŁKI BRZEW OWOCOWYCH ODMIAN HANDLOWYCH WITOLDA KLENIEWSKIEGO

LEMSZCZYŻNA WOJ. LUBELSKIE SZCZĘKARKÓW
(pow. Lubelski) (pow. Puławski)

Polecają na sezon jesienny wybrane drzewka, krzewy owocowe, róże krzaczaste, oraz dziczki drzew owocowych i róż.

Cenniki wysyłają się na żądanie!

Przyjmuje się również fachowe inspekcje i całkowite zakładania ogrodów przemysłowych pod kierunkiem specjalistów.

DYREKTOR HANDLOWY: STEFAN SKAWIŃSKI,
Pomolog.

BIURO SPRZEDAŻY: Dom Handlowy B-CIA
KLENIEWSKY. A. ROSTWOROWSKI I K.
SZLENKIER.

WARSZAWA, BODUENA 2, TEL. 61-20.
Adres telegr: BRACKLENIEWSKY WARSZAWA.

267

DORAŻNA POMOC Lekarzy Specjalistów

w Warszawie

„AUXILIUM“

Czynna w dzień i w nocy bez przerwy

tel. 403-50.

Udziela niezwłocznej pomocy lekarskiej przez lekarzy wymaganej specjalności w mieszkaniu chorych lub w gabinetach lekarzy

KONSYLJA

222 Biuro Centrali ul. Żórawia 33.

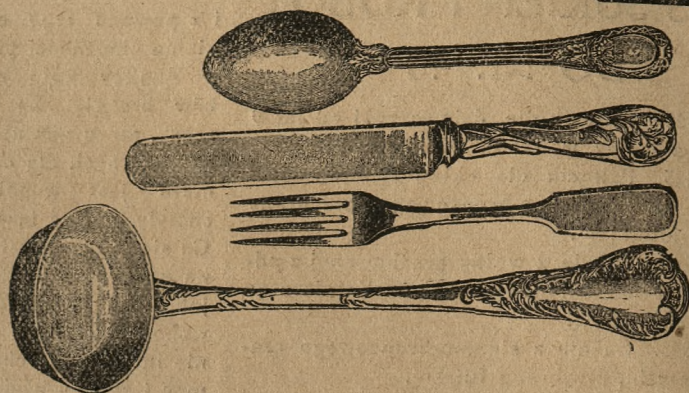
Założona w 1824 r., nagrodzona 26 najwyższymi nagrodami

FABRYKA WYROBÓW SREBRNYCH I PLATEROWANYCH

JÓZEF FRAGET

w Warszawie

Magazyny fabryczne: Elektoralna 16, Wierzbowa 8, Nalewki 16
w Łodzi: Piotrkowska 99.



Polecają w wielkim wyborze na podarunki i wyprawy zastawy stołowe,
przybory toaletowe, sztuce gładkie i stylowe etc.

OD KASZLU i PRZEZIĘBIENIA

UŻYWAJ
„PASTYLEK NEO-VALDA“

Wyrobu Laboratorium Chemiczno - Farmaceut.

B. KROGULECKI w WARSZAWIE

Żądać w aptekach i składach aptecznych

251

UWAGA: Powiększone wzory robót
i formy bibułkowe sukien, podanych
w dodatku mód, nabywać można w
Administracji „Bluszczu“.

Przy zamawianiu form należy wymienić
wielkość (I. II. III. lub IV), podług której
forma ma być przykrojona.

TABELKA PRZECIĘTNYCH MIAR

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Korespondencję, dotyczącą mód i ro-
bót, należy kierować oddzielnie do Re-
dakcji dodatku mód. Zamówień nie
należy uskuteczniać na blankietach
czekowych P. K. O.

Z dniem 1 paźdz. r. b. ceny
ogłoszeń jesteśmy zmuszeni
podnieść o 100%. Nowe ceny
uwidocznione są poniżej.
Mimo podwyżki—ogłoszenie
w „Bluszczu“ pozostaje nadal
najtańszą i najkorzystniejszą
reklamą.

PRENUMERATA „BLUSZCZU“

z przesyłką pocztową
WYNOŚI

rocznie 48 zł. — gr.
kwartalnie 12 „ — „
miesięcznie 4 „ — „

Zagranicą:

miesięcznie 8 zł. — gr.
zmiana adresu — „ 30 „

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona 180 zł. — gr.
1/2 „ 104 „ — „
1/4 „ 60 „ — „
1/8 „ 32 „ — „
1/16 „ 18 „ — „
1/24 „ 12 „ — „

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się
nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń

Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje
wszystkie już przyjęte ogłoszenia od dnia
zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na 1/4 część strony
przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogło-
szenie drobniejsze ma być powtarzane,
za każde trzy razy należy wnieść należność
z góry.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2,

Koło Polek, telefon 239-40.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

SKŁAD FUTER i KONFEKCI FUTRZANEJ FELIKSA KIZYK

WARSZAWA

Marszałkowska 119 — tel. 155-86.

OBUWIE
MĘSKIE,
DAMSKIE



poleca:

C. GADZIŃSKI, S-to Krzyska 5, w podwórzu.

256

MAGAZYN MÓD

S. BAŃKOWSKIEJ Warszawa,
ul. Chmielna 12.

POLECA:

Najświeższe fasony kapeluszy, sukien, bluzek

DUŻY WYBÓR

CENY UMIARKOWANE.

258

ISTNIEJE OD 1838 R.

Skład Papieru i Materiałów Piśmiennych
Drukarnia, Litografia i Introligatornia

A. Chodowiecki

Warszawa, Krakowskie-Przedm. 9. Tel. 9-89.

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU

PIG. CHLOROFILOWE
GESSNERA

115 preparat roślinny, pobudza
apetyt i wzmacnia organizm.

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU“: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA“, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ,
T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA—
Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“ — Długa 9 i 1. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK“.
Sp. z Ogr. Odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40